NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 247·— Marek, Półrocznie 494·— Mk. Rocznie 988·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 47[illegible].

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 20 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 25. czerwca 1921. Nr. 26.

Tragiczny zgon atamana „Marusi"



Ostatnie chwile skazanej na śmierć przez bolszewików kobiety-atamana.

Tragiczny zgon atamana „Marusi".

(Do illustracyi tytułowej).

Jednym z oddziałów na południowym froncie, który wiele krwi i kłopotów kosztował armię bolszewicką, była konna wataha atamana „Marusi", złożona z około dwu tysięcy jeźdźców. Na jej czele stała kobieta, znana powszechnie pod nazwiskiem „Marusi", budząca samem swem brzmieniem postrach w szeregach krasnogwardyjców. Była to wdowa po oficerze, która chcąc pomścić zgon swego męża, poległego od kul bolszewickich, zorganizowała oddział powstańczy, wypowiadając czerwonym tyranom nieubłaganą walkę na śmierć i życie. Oddział jej składał się z ludzi zrezygnowanych na wszystko, karność panowała w nim nadzwyczajna, nieposłusznych karała „Marusia" śmiercią własnoręcznie.

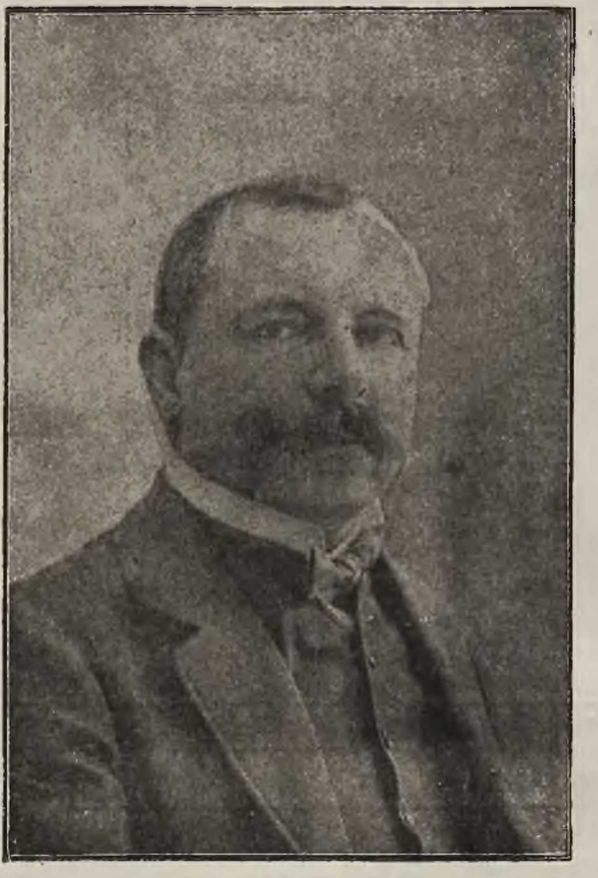
Wojska bolszewickie próbowały kilkakrotnie rozbić jej oddział, udało się im to dopiero przed niedawnym czasem w gubernii połtawskiej, gdzie cztery czerwone pułki otoczyły powstańców, odcinając im drogę odwrotu. Jedna część zdołała zbiedz, sama zaś „Marusia" ze swym sztabem dostała się do niewoli.

Po dostaniu się do niewoli rozstrzelaną została „Marusia". „Krasnogwardyjcy", którzy mieli rozstrzelać „Marusię", trzy razy rozmyślnie chybili. Nawet bolszewik nie miał odwagi skierować śmiercionośnej kuli w obnażoną pierś pięknej kobiety. Dopiero ustawiony w ukryciu karabin maszynowy położył kres życiu atamana „Marusi", uwalniając w ten sposób bolszewików od jednego z najzawziętszych i na wszystko zdecydowanych nieprzyjaciół.

Nowi nasi rektorzy.

Wobec zbliżającego się końca roku akademickiego odbyły się w naszych najwyższych uczelniach wybory rektorów na rok następny 1921—22.

W ubiegłym tygodniu zebrali się delegaci poszczególnych wydziałów *Almae Matris Jagellonicae* celem dokonania wyboru rektora w myśl obowiązujących przepisów. Wszystkie głosy padły jednomyślnie na dotychczasowego rektora prof. dra Stanisława Estreichera, który w ten sposób piastowałby godność rektorską trzeci rok z rzędu. Do wybranego przemówił w gorących słowach prof. dr. K. Morawski, prosząc o przyjęcie ofiarowanej przez kolegów godności, jako dowodu zaufania i uznania zasług, położonych przezeń dotychczas na tem wysokiem lecz trudnem stanowisku. Prof. Estreicher podziękował za jednomyślny wybór, prosząc jednak, aby go od niego zwolniono. Wobec tego odbyło się ponowne głosowanie, a wszystkie głosy padły tym razem jednomyślnie na prof. dra Juliana Nowaka,



Nasi nowi rektorzy: Prof. dr. Julian Nowak, nowoobrany rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

profesora weterynaryi i bakteryologii na wydziale medycznym.

Nowo obrany rektor znany jest w szerokich kołach naszego społeczeństwa ze swej dotychczasowej działalności naukowej i społecznej. W pamięci Krakowa zapisał się bardzo wdzięcznie, zwłaszcza z czasów pierwszego okresu wojny światowej, gdy po wyjeździe prezydenta objął stanowisko komisarza rządowego naszego miasta i racyonalną gospodarką swą i zarządzeniami przyczynił się wielce do złagodzenia panujących wówczas bardzo przykrych stosunków.

Prawie równocześnie odbył się wybór rektora także i w krakowskiej Akademii Górniczej. I tutaj wybór padł ponownie na dotychczasowego rektora prof. dra A. Hoborskiego.

Prof. dr. Hoborski, najmłodszy wiekiem między rektorami polskich wszechnic, urodził się bowiem w roku 1879, jest Tarnowianinem, tam ukończył gimnazyum, następnie zaś wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie poświęcił się studyom wyższej matematyki. Po uzyskaniu stopnia doktorskiego bawił jakiś czas w Paryżu, gdzie osiągnął stopień licencyata nauk matematycznych, następnie zaś w Getyndze. Po powrocie do Krakowa habilitował się na wydziale filozoficznym Uniwersytetu, równocześnie zaś pełnił obowiązki nauczycielskie w szkołach średnich, ostatnio w V. gimnazyum, skąd w dniu 1 maja 1919 powołano go na katedrę w nowo utworzonej Akademii Górniczej. W pierwszym roku jej istnienia był dziekanem, w następnym obrano go rektorem.

Z powstaniem i rozwojem naszej Akademii Górniczej związane jest bardzo ściśle nazwisko prof. Hoborskiego, a systematyczny swój rozwój, w bardzo trudnych, jak zwykle na początek, warunkach, ma ona jemu głównie do zawdzięczenia. Zabiegi jego zwrócone są zwłaszcza w dwu kierunkach, a to, aby zakład mógł znaleźć bodaj jakie takie na razie pomieszczenie, nie mogąc myśleć o budowie własnego gmachu i zyskanie dlań odpowiednich sił nauczycielskich, pozatem ułatwienie kształcącej się tamże młodzieży trudnych warunków bytu. Tymczasem mieści się Akademia w dwu budynkach, to jest w budynku szkoły miejskiej przy ulicy Loretańskiej (częściowo i w Uniwersytecie) oraz w gmachu gimnazyum VI. w Podgórzu. Pomieszczenie nazbyt nie wygodne, w każdym razie umożliwiające normalny tok prac naukowych. Trudniej już było z pozyskaniem odpowiednich sił nauczycielskich. Starania, czynione w tym kierunku przez rektorat, rozbijają się stale z powodu braku mieszkań w naszem mieście, bo nawet i ludzie nauki radziby mieć kawałek własnego dachu nad głową. Zabiegi o ułatwienie warunków bytu dla młodzieży osiągnęły natomiast jak najpiękniejsze wyniki. Kuratoryum finansowe, Pomoc naukowa i Koło słuchaczy Akademii Górniczej, to instytucye, które w życiu młodzieży



Ku czci bohaterów z pod Rokitny: Uczestnicy słynnej szarży z podpułkownikiem Jagrym-Maleszewskim w pośrodku. Fot. „Marya", Kraków.

niepoślednią odgrywają rolę, a powołanie ich do życia, to również jedna z zasług obecnego rektora. Czynione są także starania o budowę Domu akademickiego dla górników, na który to cel ofiarowało miasto grunt przy ulicy Słonecznej. Z powodu szczupłości miejsca i braku odpowiednich funduszów, zdecydowano się na razie na budowę baraku, aby złemu bodaj w części zaradzić, a młodzieży dać pomieszczenie.

Jak z tego pobieżnego zestawienia widać, rektorat Akademii Górniczej wywiązał się bardzo chlubnie z swych zadań, mimo trudne obecne warunki. Dalszy ciąg, w miarę poprawiania się stosunków, pójdzie już lżej, Akademia znajdzie odpowiednie dla siebie pomieszczenie, co ułatwi jej rozwój, w dziejach swych zapisze zaś złotemi głoskami nazwiska tych wszystkich, którzy w tak ciężkich warunkach powołali ją do życia i energią swą i zapobiegliwością zwalczyli wszelkie trudności, nie pozwalając wielkiemu dziełu upaść już w pierwszych latach jego istnienia.

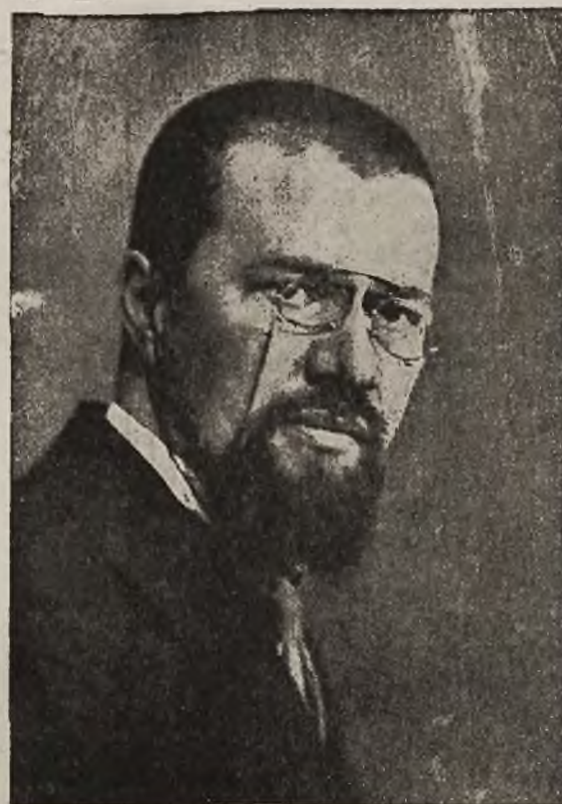
Ku czci bohaterów z pod Rokitny.

W ubiegłym tygodniu obchodzono w Krakowie doroczną uroczystość oddania czci pamięci bohaterów, poległych w słynnej szarży pod Rokitną. Epizod to tak świetnie malujący dzielność i zaparcie się polskiego żołnierza, że na równi stawia się go ze słynną szarżą polskiej kawaleryi pod Sommo-Sierrą z czasów wojen napoleońskich. I tu i tam rozkaz dowództwa, na oko niewykonalny, spełniony został przez naszych bohaterów z taką brawurą, choć też i stratami, że złotemi głoskami zapisał się ten moment w dziejach polskiego oręża.

Ułani szwadronu rotmistrza Dunin-Wąsowicza, należący do drugiego pułku ułanów legionowych, dziś zamienionego na drugi pułk szwoleżerów, otrzymali od austryackiej komendy rozkaz zaatakowania rosyjskich pozycyj pod Rokitną, bronionych rowami i zasiekami z drutu kolczastego. Laik musi przyznać, że do tego nie nadaje się kawalerya, polski żołnierz w ślepem posłuszeństwie wykonał polecenie i cel osiągnął. Pozycyę zdobyto, ale z szarży wróciła zaledwie część jej uczestników, reszta wraz z dowódcą legła na placu boju.

Ich pamięć czci też wojskowość, a z nią i całe polskie społeczeństwo, jak sobie na to zasłużyli.

W rocznicę szarży pod Rokitną odprawił żałobne nabożeństwo w kościele Maryackim ks. infułat Wądolny w asystencyi licznego duchowieństwa. W prezbiteryum ustawiono katafalk, który tonął w zieleni i powodzi światła. Na trumnie złożono lance ułańskie i szable. Przed katafalkiem ustawiono w kozły karabiny, oraz dwa karabiny maszynowe. Wartę honorową przy katafalku pełnili szwoleżerzy z dobytemi szablami. Podczas nabożeństwa orkiestra 2 pułku szwoleżerów wykonała szereg pieśni żałobnych.



Nasi nowi rektorzy: Prof. dr. A. Hoborski. wybrany ponownie rektorem Akademii Górniczej na rok 1921—22.
Fot. „Marya", Kraków.

W nabożeństwie wzięli udział: jeneralicya załogi krakowskiej z jenerałem Szeptyckim, starosta Kowalikowski, prezydyum miasta, przedstawiciele Białego i Czerwonego Krzyża, weterani z 1863 roku, a nadto liczna delegacya 2 pułku szwoleżerów ze sztandarem, oraz dawni oficerowie i żołnierze 2 p. ułanów legionowych. Nawy boczne kościoła wypełniła szczelnie licznie zebrana publiczność.

Tego samego dnia odbywały się w sali Muzeum przemysłowego w Krakowie obrady uczestników szarży pod Rokitną, w których wzięło udział ponad 100 oficerów i żołnierzy 2 pułku ułanów legionowych i oficerów 2 pułku szwoleżerów. Po wspólnej fotografii o godzinie 11 przed południem przystąpiono do obrad, których przedmiotem były sprawy sprowadzenia zwłok poległych pod Rokitną, utworzenia funduszu zaopatrzenia wdów i sierót, oraz wydania historyi pułku, który brał udział w szarży. Wszystkie punkty porządku dziennego przedyskutowano i powzięto odpowiednie uchwały. Nadto uchwalono, że następne zjazdy będą się odbywały w miejscach postoju 2 pułku ułanów szwoleżerów.

Wieczorem o godzinie 8 w Grand Hotelu odbyła się wspólna kolacya, w której wzięli również udział jenerałowie Szeptycki, Osiński, starosta Kowalikowski, prezydent Federowicz, dr. K. Ostrowski i zaproszeni goście. Funkcye gospodarza pełnił major Rolecki.

Organizacya polskiego kolejnictwa na Górnym Śląsku.

Równocześnie z ruchem zbrojnym, jaki wybuchł na Górnym Śląsku w odpowiedzi na nowe machinacye angielsko-niemieckie, rozpoczęto też energiczną pracę nad tworzeniem silnych podstaw organizacyi życia społecznego w tych okolicach, które w myśl słuszności i postanowień traktatu wersalskiego powinny dostać się Polsce. Organizuje się zatem tymczasowe urzędy we wszystkich kierunkach administracyi państwowej, aby nawet w razie zamieszek wojennych utrzymać ład, porządek i zapewnić mieszkańcom należyte korzystanie z ich praw obywatelskich. Z chwilą, gdy zapadnie ostatnia decyzya Koalicyi, która wypaść nie może, a raczej nie powinna na naszą niekorzyść, o ile ma być respektowaną wola ludu, stanowiącego o swym losie, a traktat wersalski, nie jest, jak się wyraził swojego czasu osławiony Radek Sobelsohn, „zwykłym świstkiem papieru, z którym się nikt nie liczy", będzie się miało już gotowe podstawy do wprowadzenia administracyi państwowej według wszelkich wymogów.

Jednym z takich tymczasowych urzędów jest Polska Rada Kolejowa w Szopienicach na Górnym



Organizacya polskiego kolejnictwa na Górnym Śląsku: Członkowie Polskiej Rady Kolejowej w Szopienicach. Od lewej ku prawej siedzą: Widuch, Potyka, Dr. Wilczek, Dr. Sikorski, Wunschik, Foicik, Janda; — stoją: Michalak, Witt, Murek, Ratajewski Foicik.

Śląsku, będąca zaczątkiem pierwszej dyrekcyi kolejowej. Urzędowanie odbywa się na razie w zarekwirowanych po uciekinierach niemieckich ubikacyach, a połączone jest, jak to każdy łatwo zrozumie, z ogromnemi trudnościami, które jednak udało się zwalczyć naszym dzielnym kolejarzom, mającym stale na oku ogólny interes narodowy, co dodaje im siły do wytrwania i tem energiczniejszej pracy w warunkach bardzo nieodpowiednich. Jak dzielnie sprawiają się przedstawiciele szopienickiej Polskiej Rady Kolejowej, pozostającej pod kierownictwem niestrudzonego dra Sikorskiego, świadczy fakt, iż



Uznanie Ameryki dla naszej rodaczki: P. Marya Curie-Skłodowska po odwiedzinach w Białym Domu w towarzystwie prezydentostwa Hardingów i p. Meloney.

w krótkim stosunkowo czasie udało się ruch kolejowy w ten sposób uporządkować, że doszedł on do dziewięćdziesięciu procent ruchu normalnego. Transporty dla armii powstańczej i w polu były przedewszystkiem główną troską naszych dzielnych kolejarzy, a nie ucierpiał na tem bynajmniej zwykły ruch prywatny, tak pasażerski jak i towarowy, na co w kraju tak przemysłowym, jak Górny Śląsk, musiano zwrócić baczną uwagę, aby nie ściągnąć na siebie zarzutu, że sobie rady dać nie potrafimy. Zasługą, że ruch kolejowy na obsadzonym przez nas terenie jest prawie normalny, podzielić się musi dr. Sikorski ze swymi energicznymi i sumiennymi współpracownikami, którzy złożyli dowód, jak należy pojmować obowiązki obywatelskie. Niemcy, patrząc na polnische Wirtschaft, przyznają w duchu, że nie różni się ona bynajmniej od tak reklamowanej ich energii, sprawności i przestrzegania porządku.

Uznanie Ameryki dla naszej rodaczki.

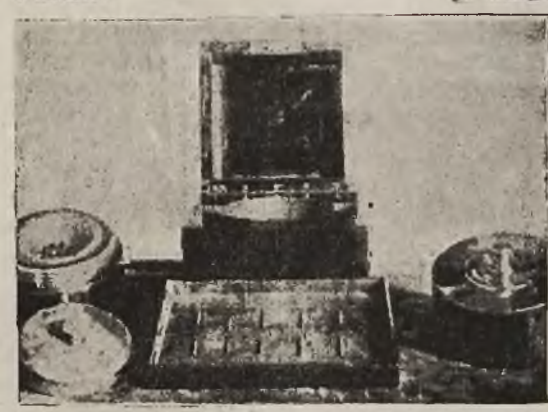
Z Francyą, aczkolwiek żyjemy z nią w przyjaźni, i to płynącej ze serca, a nie z interesu, będziemy się musieli przecież kłócić o... panią Maryę Skłodowską. Francya zaanektowała dla siebie w zupełności naszą znakomitą rodaczkę, a prasa tamtejsza uważa ją za Francuzkę i hołdy jakie jej świat oddaje, zapisuje stale na rachunek francuski. A jednak pani Marya Curie Skłodowska nie jest Francuzką lecz Polką i stale się do tego przyznaje używając obok swego francuskiego nazwiska także i polskiego. Między Francyą a Polską wywiązać się zatem może spór o znakomitą uczoną, podobny do owego, jaki wybuchł między Polską a Niemcami o narodową przynależność Kopernika.

Pani Marya Curie Skłodowska znaną jest w całym świecie jako znakomita uczona i badaczka w dziedzinie fizyki. Początkowo wspólnie z swym mężem, następnie samodzielnie zasłynęła szeroko w sferach uczonych, zwłaszcza zaś w dziedzinie radiologii. Francya może się też chlubić, że badań i odkryć swych dokonała na jej ziemi, Polska, że ją wydała.

W maju bieżącego roku bawiła pani Curie-Skłodowska w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, przyjmowana wszędzie owacyjnie. W gorących jej powitaniach szły ze sobą o lepsze: ogół amerykańskiego obywatelstwa, tamtejsze kobiety, amerykańska Polonia i kolonie francuskie. Zwłaszcza kobiety tamtejsze dawały jej na każdym kroku dowody uznania i podziwu, a dowodem tego był dar ich dla Paryża, złożony na ręce pani Curie-Skłodowskiej. Stanowił go gram radium, zakupiony ze składek za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, przez amerykańskie kobiety, aby naszej rodacze umożliwić w ten sposób dalsze badania w tej dziedzinie. Inicyatorką tego uczczenia pani Curie-Skłodowskiej była p. Moloney.

Uroczyste wręczenie podarku odbyło się w dniu 20 maja b. r. w Białym Domu w Waszyngtonie. Wręczenia dokonał prezydent Harding wobec przedstawicieli świata dyplomatycznego, naukowego oraz licznie zaproszonych gości ze wszystkich sfer społecznych. W przemowie, wygłoszonej przy tej sposobności zaznaczył prezydent wyraźnie obok obecnej przynależności politycznej pani Curie-Skłodowskiej, także jej polską przynależność narodową. Powiedział mianowicie co następuje:

„Witamy panią jako córkę adoptowaną Francyi, która wśród wielkich narodów jest naszą najdawniejszą podporą. Witamy panią jako córę Polski, gdzie pani się urodziła, jako córę narodu najmłodszego i również najdawniejszego z wielkich narodów, a zawsze przywiązanego do naszej republiki węzłami najściślejszej sympatyi. W Pani widzimy osobę reprezentującą Polskę odrodzoną i przywróconą na właściwe stanowisko, osobę reprezentującą Francyę,



Uznanie Ameryki dla naszej rodaczki: Kasetka przeznaczona do przewiezienia do Europy grama radu, ofiarowanego przez kobiety amerykańskie p. Curie-Skłodowskiej.

która walecznie utrzymała się w przednich szeregach, do których miała zawsze prawo, jako naród, którego dzieło otrzymało aprobatę powszechną".

Celem przewiezienia drogocennego podarku, zawartego w dziesięciu rurkach ze szkła ołowiowego, użyto specyalnego opakowania, aby uchronić otoczenie od szkodliwych wpływów tego małoznanego pierwiastka.



Intronizacya króla kurkowego: Król kurkowy mec. dr. Kazimierz Ostrowski w otoczeniu „Braci Strzeleckiej" i gości. Fot. J. Neider, Kraków.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

— Nie wiem — odrzekł obojętnie. — Mógłbym zostać i dłużej, jeżeli zechcę. Faktem jest, Mrs. Armine, że pozostawiwszy moich pacjentów, czuję się doskonale. Nie ma pani pojęcia, jak...

— A co będzie z pańskiemi pacyentami? — przerwała — cała pańska praktyka się rozbije.

— Bardzo pani dobra, że się o to troszczy.

— Oh, ja się tam nie troszczę, tylko się dziwię. Nie znam pana dobrze, lecz przyznam się, że miałam o panu inne przekonanie.

— Tak !?...

— I myślałam, że pan jest bardzo ambitnym i może wejść na same szczyty.

— A teraz?

— Zdaje mi się, że to nie jest właściwa droga, bardzo mi przykro.

Powiedziała to zupełnie naturalnie. Jeżeli na jego widok się zmięszała — a że się strasznie zmięszała, był tego pewien — odzyskiwała teraz równowagę.

— Kobiety są bardzo niedorzeczne — ciągnęła. — Podziwiają zawsze człowieka, który idzie naprzód, który wyprzedza tłum.

Idąc zwolna obok siebie wyszli na wielki zewnętrzny dziedziniec. Isaacson, już nie myślał o cudnej świątyni. Ta kobieta miała zdolność pochwycenia całej jego uwagi i zatrzymania jej na sobie.

— Może usiądziemy na chwilę — rzekła, jestem zmęczona cbodzeniem.

Wskazała na duży odłam kamienia, siadła i rozpięła białą w zielone pasy parasolkę. Po raz pierwszy, od kiedy się spotkali Isaacson, przypomniawszy sobie śmierć Harwich'a zdziwił się jej strojem.

— Ah! — rzekła — pan słyszał naturalnie! Uczuł się zmięszany, że odgadła jego myśli.

— Słyszał o czem, Mrs. Armine?

— O nagłej śmierci mego szwagra.

— Czytałem o niej w dziennikach.

— Tak się zdarzyło, że nie mam z sobą żadnej lekkiej, żałobnej sukni.

Głos jej znowu się zmienił, kiedy to mówiła, był twardy jak kamień. Isaacson siadł przy niej.

— A przytem, co to tutaj znaczy? Znałam Harwich'a tylko z widzenia.—Po chwili dodała:

— A zatem, nie mogę bardzo się smucić. Lecz Nigel jest tą wiadością ogromnie zmartwiony.

— Czy tak?

— Okropnie. Pan musi wiedzieć, jak bardzo jest uczuciowym.

— Tak.

— Nie mógł być na pogrzebie, nie byłby zdążył.

— Dlatego nie pojechał?

I znowu z po za welonu ujrzał oczy śmiało na niego patrzące.

— Nie było potrzeby. Lady Harwich telegrafowała, żeby to powiedzieć.

— Tak.

— Zawsze była przeciwną Niglowi od chwili kiedy ze mną się ożenił. Pan wie jakiemi się kobiety!

Skinął głową.

— Lecz to wszystko czyniło na Niglu straszne wrażenie. Dlatego tutaj jesteśmy. Pragnął być daleko od wszystkich, tylko ze mną. Nie wyszedł nawet dzisiaj żeby mi towarzyszyć. Nie chce widzieć żywej duszy przez parę tygodni.

— Bardzo mi przykro.

— Jak długo bawił pan w Luksorze? — zapytał obojętnie.—Zapomniałam. Mieszczkał pan w hotelu, czy też odrazu na swej łodzi?

— Zatrzymałem się parę godzin w Winter Palace.

— Ach tak? i uciekł pan przed tłumem?

— Nie mogę powiedzieć, żebym go lubił.

— Może pan sobie wyobrazić, jaki Nigel ma do niego wstręt w teraźniejszych okolicznościach. A przytem, wie pan, nie czuł się zupełnie zdrów w statnich czasach. Nic ważnego... nic stosownego dla pańskiej wiedzy... doznał porażenia słońcem. I to w połączeniu ze śmiercią brata wywołało u niego niechęć do ludzi. Postaram się jednak nakłonić go, żeby się z panem zobaczył za jakie dwa, trzy tygodnie, kiedy pan będzie wracał w dół Nilu. Pan się zatrzyma przy pierwszej katarakcie, naturalnie?

— Być może.

— A zatem wtedy, jak pan będzie wracał. Łatwo pan nas odnajdzie. Nasza łódź nazywa się Lonlia.

— A więc mąż pani doznał porażenia słonecznego?

— Tak, w Luksorze. Ma się rozumieć zawezwałam natychmiast lekarza, czarującego człowieka... doktora Baring Hartley, bardzo zdolnego specyalistę z Bostonu. Podjął się kuracyi.

— Ah, więc państwo zabrali go z sobą na łódź?

— Nie, Nigel nie chce nikogo. Lecz prowadzi kuracyę i pojechał do Assanau, żeby się z nami spotkać. Czy pan się uda do Hartum?

— Owszem.

— Wszystko teraz tak ułatwione.

— Tak.

— Dużobym dała, żeby pojechać do Chartum. Mówią, że tam daleko więcej zajmująco, niż przed pierwszą kataraktą.

— Dlaczegoż pani nie jedzie?

— Może pojedziemy, lecz jeszcze nie teraz, Nigel nie ma ochoty do niczego. A zresztą nie wiem, czyby to bardzo wypadało podróżować dla przyjemności, Tak prędko po tej śmierci? To dość nudne dla mnie, lecz znajduję, że Nigel ma zupełną słuszność nie chcąc widzieć nikogo przez jakie dwa lub trzy tygodnie.

— Czy mogę zapalić cygaro?

— Ależ proszę.

Meyer Isaacson zwolna wyciągnął papierośnicę, wyjął cygaro, potarł zapałkę i zapalił. Czynność ta bardzo natu.al1a wybawiła go chwilowo od konieczności rozmawiania. Kiedy cygaro zostało zapalone, rzekł:

— Pani nie ma na myśli — mówił powoli, prawie niedbale, jakby był zanadto zadowolony, żeby go coś na świecie mogło obchodzić — pani nie myśli, że jej mąż nie chciałby mnie widzieć, kiedy jestem tak blisko. Znaliśmy się dobrze. I właśnie przed chwilą pani powiedziała, że byłby dotknięty mojem przybyciem do Egiptu bez zawiadomienia go o tem.

— Otóż właściwie — rzekła równie obojętnym tonem — gdyby się spodziewał pana zobaczyć, toby nie uczyniło na nim takiego wrażenia. Ale doktór Baring Hartley zalecił mu największy spokój — w każdym razie dopóki nie staniemy w Assnau, każde wzruszenie, nawet przyjemne jest mu wzbronione.

— Doprawdy, obawiam się, że musi być rzeczywiście bardzo chory.

— Oh, nie. Wygląda gorzej, niż jest. Raczej cera jest zła, i łatwo się męczy. Lecz był znacznie gorzej przed tygodniem. Poprawia się z każdym dniem.

— To dobrze.

— Wyszedł w Tebach na słońce w upalny dzień w południe. Prosiłam go, żeby tego nie czynił, lecz Nigel jest trochę uparty. W rezultacie musiałam go pielęgnować.

— Obawiam się, że to zepsuło pani wycieczkę.

— Byleby tylko wyzdrowiał prędko, to nic nie znaczy.

— Będzie bardzo dziwnie wyglądoło minąć go bez widzenia — rzekł Isaacson ciągle tym samym tonem.—Przypuszczam, że będę musiał wyminąć; państwo nie odpływają natychmiast?

— Nie wiem. To będzie zależało od niego.

— Jeżeli Państwo zaraz odpłyną, będę tylną strażą.

— Tak.

Poruszała lekko parasolką.

— Chciałabym, żeby pan odwiedził Nigla — rzekła. I szczerym, prawie serdecznym tonem dodała: — Uczyńmy tak: wrócę na dahabijeh, żeby zobaczyć, jak się Nigel obecnie czuje — i wybadam go. Jeżeli znajdę, że może się z panem widzieć, napiszę, prosząc, żeby pan go odwiedził. Gdyby się czuł bardzo osłabionym i nie chciał widzieć nikogo — nawet pana — prosiłabym odłożyć wizytę na kilka dni i odwiedzić nas w Assnau. Ale może Nigel będzie rad pana zobaczyć, może zanadto ściśle spełniam przepisy lekarza — i jestem zbytnio ostrożna. Zgadza się pan na to?

— Bardzo pani dziękuję.

Wstała i on też poszedł za jej przykładem.

— Naturalnie — rzekła — jeżeli będę musiała odmówić... mam nadzieję, że nie... ale jeżeli... ufam, że pan tego za złe nie weźmie i wyminie nas bez widzenia się z moim mężem. Jako lekarz pan mnie rozumie.

— Rozumiem doskonale.

— A zatem...

— Wyciągnęła rękę.

— Odprowadzę panią na brzeg. Przypuszczam, że pani przyjechła na ośle?

— Tak.

— A więc pani pozwoli, że pójdę po jej poganiacza.

— Poszedł na wieś do swych znajomych, lecz musiał już powrócić. Znajdę go łatwo.

Lecz nalegał, żeby ją odprowadzić. Wyszli z dziedzińca przez wąską, wysoką bramę, na której jeszcze widniały rysunki zabarwione na błękitno zielony „kolor miłości". Zabarwienie to sprawiało wrażenie podobne do okrzyku radości w ciemnej świątyni. Isaacson znajdował, że przywodzi na myśl kobietę jaką powinna być w życiu mężczyzny... coś delikatnego, eterycznego, potrzebującego opieki i siły. Myślał jeszcze ciągle o kolorze miłości i o swej towarzyszce, kiedy stanął przed nimi Hanza, cichy, spokojny, niewzruszony, jak bronz w jasnem świetle poranku. Szczupłą delikatną swą rękę trzymał na lejcach wspaniałego osła. Patrzał na nich wyraźnie wschodniemi oczami, które zatrzymywały wszystkie swe tajemnice.

— Co za wspaniały typ! — rzekł Isaacson po francusku.

— Hanza? — tak.

— Nazywa się Hanza?

Skinęła głową.

— Pochodzi z Luksoru. Do widzenia. Przyszlę najdalej po południu. Szybko i lekko, jak młoda kobieta wsiadła na osła.

XI.

Isaacson powrócił sam do świątyni, lecz czar Nilu prysnął. Został szorstko ze swego snu wyrwany i tak rozbudzony, że tego snu nie pamiętał. Był znowu człowiekiem, jakim bywał w Londynie... człowiekiem intenzywnie, żydowsko bacznym, człowiekiem z umysłem lekarza. W każdym prawie wielkim lekarzu kryje się wielki detektyw. I detektyw szedł teraz samotny do świątyni Edfu, wchodził znowu do ciemnego sanctuarum i stał długi czas przed granitową framugą bożka, wsłuchując się wśród absolutnej ciszy w brzmienie nieprzyjemnego głosu.

Kiedy upał popołudnia się zbliżał, Isaacson powrócił na Fatmę. Nie wiedział wiele czasu upłynęło od kiedy Mrs. Armine go opuściła i wchodząc na łódź zapytał się Hassana, czy nie było jakiego posłańca lub listu z dahabijeh, który stał na południe od nich w drgającem złocie.

— Nie, mój dobry panie — odpowiedział ze spojrzeniem wielkiego zaciekawienia. — I posypały się zapytania.

— Ta łódź, to Lonlia — rzekł niecierpliwie Isaacson wskazując na rzekę.

— Naturalnie, wiem o tem, mój panie.

— Znam tych państwa, którzy na niej mieszkają. Oni... jedno z nich jest moim przyjacielem. To wystarczy. Możesz odejść.

Isaacson zaczął się przechadzać tam i napowrót. Odsunął krzesła, żeby mieć więcej miejsca. Pomimo, że upał stawał się coraz większy i że czoło jego okrywało się potem, nie mógł się wstrzymać od ruchu. Pomyślał ze zdziwieniem o swej długiej, absolutnej inercyi od kiedy opuścił Luksor. Jak mógł pozostawać całemi godzinami na krześle patrząc na płynącą wodę i jednostajne brzegi Nilu? Tuż przy Fatmie dwaj robotnicy śpiewali i schylali się — śpiewali i schylali. Czy to śpiew fellahów ukołysał go do snu? Teraz słysząc ten śpiew słyszał tylko gwałtowność w ich głosie. P.zy lunch'u jadł pośpiesznie, nie zważając na to, co je. Kiedy skończył sam Hassan przyniósł mu kawę, gdyż nie mógł powstrzymać swej ciekawości.

— Żaden posłaniec nie przybył, mój dobry panie.

Stał i patrzał na Isaacsona.

— Nie? — rzekł doktór z udaną obojętnością.

— Wszyscy ludzie śpią, Reis jest gotów, żeby płynąć. Zatrzymamy się przy Lonlii i weźmiemy list sami.

— Nie; nie chcę płynąć teraz. Za gorąco.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

46 I.

Depesza była od Lambertini'ego z Neapolu. Oto jej treść:

„Odnalazłem Rachelę. Zaklinam cię na wszystko, wracaj natychmiast do Włoch. Odwołuję się do twojej braterskiej przyjaźni. Odpowiedz depeszą: Grand-Hotel, Neapol — oczekuję cię z upragnieniem. *Ranieri Lambertini*".

Depesza ta wprowadziła Roberta w wielkie zdumienie. Ta młoda dziewczyna, jak się zdawało, na zawsze stracona dla jego przyjaciela — odnajdywała się nagle, w chwili najmniej spodziewanej. I ta dziewczyna nosiła imię Racheli, tak jak córka kobiety, którą więził u siebie Markus Henner. Jeżeli więc ona była tą, za którą biedna Marya tęskniła lat tyle i którą straciła już nadzieję odzyskać? Ranieri wspominał mu przecież, że ukochaną jego prześladuje człowiek o wielkiej mocy i potędze, taki sam, jaki prześladował jego, Roberta Alimenę. Co za dziwny zbieg okoliczności. Czyż nie te same niebezpieczeństwa groziły im obydwom — i Ranieremu i jemu. Markus Henner w nienawiści swojej chciał ich wciągnąć w jedną i tą samą zasadzkę i ugodził w nich obydwóch. Ranieri został śmiertelnie raniony, a on posądzony o morderstwo!?

Taki chaos nagły zapanował w myśli Roberta, że kilkakrotnie zabierał się do wysłania odwrotnej depeszy do Neapolu, a n'e mógł dojść do zredagowania choć kilku słów. Chciałby wytłumaczyć przyjacielowi, dlaczego natychmiast, pomimo jego nalegania, opuścić Londynu nie może, wyjaśnić, kto jest Markus Henner, donieść, że odnalazł Matkę Racheli, że może nawet tej nocy uda mu się ją porwać i przybyć z nią razem do Neapolu — ale słowa nie mogły wyrazić tego wszystkiego, więc darł jedną po drugiej, niecierpliwiąc się coraz więcej.

Bo jeżeli Ranieri tych wiadomości, zawartych w kilku słowach, nie potrafi zrozumieć? Jeżeli Rachela nie była córką Maryi? a Marya nie była tą kobietą, poszukiwaną przez niego, tylko obcą mu jakąś istotą, którą Markus Henner przetrzymywał u siebie jako lekarz i hypnotyzer?

Wszystko to było przecież możliwe, bo tajemnica, jaką się czuł otoczony ze wszystkich stron, dotąd wyjaśnioną jeszcze nie została. I któż zaręczyć mógł, że wyjaśnioną wogóle zostanie. Robert kilka godzin temu tak pełny najlepszych nadziei i wierzący w swoją dobrą gwiazdę — owładnięty teraz został silnem uczuciem niepokoju i wątpliwości, a wiadomość, odebrana od przyjaciela, zamiast uspokoić go, wzburzyła go jeszcze silniej.

Jednakże należało koniecznie dać jakąś odpowiedź Ranieremu, tem bardziej, że depesza jego dwa dni bawiła w drodze. Po długich więc rozmyślaniach Robert napisał tych słów kilka:

„Hrabia Ranieri Lambertini, Grand-Hotel, Neapol. Jestem tutaj, depesza przybyła z opóźnieniem. Wiadomość zdziwiła mnie, lecz i ucieszyła ogromnie. Nie mogę powiedzieć, czy będę mógł wyjechać natychmiast. Decyzya zależna od bardzo ważnego faktu. Nie mogę więcej wyrazić w depeszy. Czekaj tej nocy drugiej depeszy i licz na mnie zawsze. *Robert Alimena*".

Robert wysłał bezzwłocznie tę depeszę do biura telegraficznego, lecz już w dziesięć minut później żałował, iż to uczynił. W podnieceniu, w jakiem żył od pewnego czasu, wszyscy ludzie otaczający go, wydawali mu się podejrzani, prawdopodobnymi wspólnikami Markusa Hennera — nawet personal hotelowy, jak i wszyscy urzędnicy na poczcie i ktokolwiek, kto był w styczności z nim samym.

Ale już teraz było za późno na rozważanie, skoro depesza wysłaną została, Robert musiał więc zrezygnować, — pocieszając się tem, że odwaga i zuchwalstwo może być również użyteczne w takiej skomplikowanej sprawie, jak i ostrożność.

Druga kartka od Dicka Leslie doręczona została Robertowi około godziny ósmej wieczorem.

— Kochany panie — pisał detektyw — od ósmej godziny dziś wieczór, zamknięty powóz o dwóch koniach oczekiwać będzie na rogu Chester Road — aż do godziny ósmej zrana. Stangret nazywa się Tom. Kiedy na słowo porozumienia: „Rachela", odpowie panu: „Marya", może pan spokojnie ze swoją towarzyszką zająć miejsce w powozie. Powóz ten zawiezie pana prosto do Brighton, gdzie znajdzie pan konie do zmiany w „Hotelu Pocztowym". Właściciel jest już uprzedzony. Stamtąd uda się pan drogą, którą pan sam wybierze aż do najbliższej stacyi kolejowej. Radzę panu wybrać stacyę jakiegoś małego miasteczka, gdzie nikt podejrzywać nie będzie mógł, że się pan tam zatrzymał. Dołączam plan Broadway wraz z wybrzeżem, o ile zechce pan popłynąć yachtem i plan Chester Road, o ile pan zdecyduje na podwóz powozem. Miejsce, gdzie ma oczekiwać powóz, jest naznaczone czerwonym krzyżykiem, krzyżyk niebieski na tym samym planie oznacza miejsce postoju yachtu. Proszę o dokładne zbadanie, bo od nieomylnej znajomości położenia zależne może wszystko, tem bardziej, że to zajęcie dopomoże z pewnością do uspokojenia nerwów pana, które muszą być obecnie bardzo podrażnione. Przyjdę do pana o godzinie jedenastej. Do widzenia. *Dick.*

Badanie planu przysłanego przez detektywa, posłużyło rzeczywiście do uspokojenia Roberta, ale i równocześnie ostudziło cokolwiek jego energię. Przedsięwzięcie, któremu miał się poświęcić wkrótce, wydawało mu się obecnie tak dziwaczne i fantastyczne, że dziwił się samemu sobie, że miał odwagę przystąpić do niego. Teraz już jednak wszystko było zdecydowane. Za dwie godziny usłyszeć miał z ust ludzi oddanych Markusowi Hennerowi wyrok ostateczny, w którym ryzykował życie własne!

Alimena nie poznawał siebie. Jak się to stać mogło, że on, Robert Alimena, człowiek arystokracyi włoskiej, człowiek niegdyś tak zimny i obojętny na wszystko — wdał się w tak skomplikowaną, tajemniczą i niebezpieczną awanturę?!

Bo Robert nie łudził się, że najmniejszy drobiazg mógł fatalnie wpłynąć na całe rozwiązanie tej miłosnej sprawy i spowodować jego śmierć jeszcze tej nocy, za godzin kilka! Jednakże pomimo oziębienia podniecenia dawnego Robert znalazł siłę potrzebną do zniesienia wszelkich konsekwencyi tego przedsięwzięcia, w które się nieostrożnie zaawanturował.

— Sam tego chciałem — wyrzekł w końcu spokojnie i zimno. — Niech się teraz dzieje, co chce!

Odpędził też wszystkie niepokojące myśli od siebie i po wyuczeniu się na pamięć planu Dicka, napisał jeszcze, uspokojony już i obojętny trzy krótkie listy. Jeden do Lambertini'ego do Grand Hotelu w Neapolu, drugi do swego notaryusza w Melanie, a trzeci do sekretarza ambasady włoskiej w Londynie. Wszystkie te trzy listy zawierały w sobie ostatnie zlecenie człowieka sposobiącego się na śmierć. W liście do przyjaciela Robert zeznawał, że stał się ofiarą Markusa Hennera i że zginął w obronie Maryi, matki Racheli. Polecał mu pomszczenie swojej śmierci. Drugi zawierał krótki testament, w którym majątek swój cały zapisywał na cele dobroczynne rodzinnego miasta. W trzecim liście, pisanym do ambasady włoskiej, Robert wskazał Markusa Hennera i czynił go winnym swojej śmierci.

Listy te po zapieczętowaniu włożył do szuflady biurka, które pozostawił niezamknięte.

Brakowało kilka minut do godziny jedenastej, kiedy zapukano do drzwi pokoju Roberta. Wszedł Dick Leslie. Detektyw obejrzał szybkiem spojrzeniem Alimenę od stóp do głowy i na twarzy jego zjawił się błysk zdziwienia, lecz nie zdradzając swoich myśli, zaraz z progu zapytał spokojnie:

— Wszystko gotowe?

— Tak — odparł zimno Robert.

— A więc jedziemy?

— Jedziemy.

Obydwaj wyszli w milczeniu z pokoju, nie zamieniwszy już przez drogę całą ani jednego słowa.

Pod lazurowem niebem.

Tego roku zima była bardzo łagodna w Neapolu. Z końcem grudnia było kilka dni zimnych i wietrznych, lecz potem powietrze zmieniło się nagle i nastąpiły jasne, słoneczne i pogodnie dnie.

Skorzystali z tej sprzyjającej temperatury cudzoziemcy, corocznie ściągający na sezon ten do Neapolu — i w tym roku również zjawili się, lecz z tą różnicą, że o wiele wcześniej niż zazwyczaj i tłumniej. Najchętniej bowiem cudzoziemcy zjeżdżają do Neapolu w połowie lutego, aby tam pozostać do końca kwietnia. Teraz jednak, już z końcem grudnia hotele i pensyonaty zaroiły się tłumem gości różnorodnych. Spadli oni jak stado jaskółek na Neapol, i widać je było wszędzie, po ulicach, kawiarniach, restauracyach, przejeżdżających powozami na wycieczki i spacery. Całe miasto przybrało wygląd ożywiony i wesoły jak nigdy.

Ranieri Lambertini, wyczerpany fizycznie i moralnie, zniechęcony do życia, przybył również spędzić miesiąc w Neapolu dla ostatecznego odpoczynku, przed wyjazdem do Nicy, dokąd go wysyłali lekarze. Obawiali się oni o zdrowie Lambertini'ego, którego płuca zdradzały wielkie osłabienie, po wyleczeniu ich z rany otrzymanej w Rzymie.

Ranieri, choć chory jeszcze, przebył całe Włochy, wypytując wszystkich komisarzów policyjnych, konsulaty zagraniczne, rozmawiając z każdym, kto mógł mu dać jakieś informacye o Racheli Kabib. Dowiedział się w końcu od kogoś, lecz wiadomość ta nie była zbyt pewna, że młoda dziewczyna schroniła się do jakiegoś klasztoru i parę razy, w małych miasteczkach włoskich zdawało mu się, że wpadł na ślad swojej ukochanej. Lecz na tem się skończyło i obraz Racheli oddalał się coraz bardziej i stawał się cieniem prawie nieuchwytnym. Ranieri nosił w sercu ranę stokroć boleśniejszą, niż ta, którą mu zadano sztyletem. Zniknięcie Racheli Kabib wpłynęło bardzo ujemnie na umysł i stan moralny jego, wywołując w nim ogromne zniechęcenie do życia. Miłość, jaką odczuwał dla młodej dziewczyny i katastrofa, która przerwała nić wiążącą ją z nią, przygnębiła go boleśnie, wypłaszając z jego duszy wszelką nadzieję i radość. Bo przecież on już był tak bliskim tego wymarzonego szczęścia i nagle pogodna rzeczywistość rozwiała się na zawsze, a na jej miejsce wystąpiła mara jakaś dręcząca i ponura. Przecież to o wiele więcej oddziałało na zdrowie młodego człowieka, niż sam fakt, orzeczony przez lekarzy, iż grozi mu piersiowa choroba, niewyleczalna może.

Nie czekając na większy powrót sił, Ranieri opuścił Rzym, bo chciał osobiście czynić dalsze poszukiwania, gdyż czuł, że zginie, jeżeli więcej nie ujrzy Racheli. Ale ta podróż wyczerpała go bardzo, tem więcej, że jak dotąd, żadnych dodatnich rezultatów z niej nie odniósł. W Rzymie lekarze znaleźli go tak osłabionym i wyczerpanym, że bezzwłocznie kazali mu dalszą podróż przerwać i pozostać kilka tygodni w Neapolu, a stamtąd na pobyt dalszy udać się do Cannes, albo Mentony. Ranieri przychylił się do ich rady prawie machinalnie, bo rozpacz jego i apatya wzrastała z dniem każdym, czyniąc go już człowiekiem biernym i bez woli.

Czuł, że bez Racheli żyć dalej nie będzie w stanie, a nadzieje jego wszystkie były prawie stracone i rozwiane. Były dnie nawet takie, w których wyobrażał sobie, że młoda dziewczyna nie żyje.

Wyjechał więc do Neapolu bez niepokoju i nadziei, zdając się na łaskę losu, uczyniwszy to jedynie na prośby swojego starego wuja, którego kochał jak ojca. Zajechał po przyjeździe do Grand-Hotelu, przy ulicy Caracciolo i pozostał tam zamknięty przez dni piętnaście, nie widując nikogo. Codziennie tylko wybierał się na dalekie przechadzki, szukając zetknięcia się z młodymi ludźmi z Neapolu, których miał niegdyś sposobność poznania w Rzymie.

Parę razy wybrał się na konną przejażdżkę, ale powrócił z niej wkrótce tak zmęczony, że postanowił odtąd unikać tej przyjemności.

Niegdyś, Ranieri Lambertini lubił bardzo wszelkie sporty i ćwiczenia na otwartem powietrzu — teraz usposobienie jego zmieniło się zupełnie. Stał się cichy, małomówny, zawsze zamyślony i smutny. Zajmował w Grand-Hotelu dwa bardzo jasne i ładnie umeblowane pokoje. Szczególnie sypialnia powinna była dobrze usposabiać do wesołych i pogodnych myśli, bo tonęła formalnie w powodzi światła i słońca. Ranieri też nie opuszczał jej prawie nigdy, siedząc godzinami całemi w głębokim fotelu, przy otworzonych drzwiach, wychodzących na balkon, patrząc smutnie na cudowny pejsaż, który roztaczał się przed jego oczami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ.

— Niech tam i dla sprawiedliwości, kiedy sobie tak życzysz. Powiedz zatem Michałowi, że się zgadzam.

— Dziękuję ci — pan Ferdynand przystąpił do niej i pocałował ją w rękę — nie pożałujesz tego — dodał z przyciskiem.

Pani Czarska dopiero teraz rozpromieniła się.

— Kiedy zgoda, to zgoda — zawołała wesoło — pierwsza pójdę do niej i zaproszę ją.

— Tak się należy — odparł pan Ferdynand spokojnie — ale zaczekaj na Michała, przyjdzie do ciebie i pójdziecie razem.

Pan Michał przygotował Celinę na tę niespodzianą wizytę; z początku słuchać o tem nie chciała! Ma wracać tam, gdzie upokorzeń i przykrości doznała? Lecz pan Michał nie przestawał nalegać, przedstawiał, że starsza o lat tyle kobieta pierwsza do niej przyjdzie, że tym krokiem przeprosi ją niejako, że zgoda przywróconą zostanie. Celina przypomniała sobie, że i on dla niej poniósł niejedną ofiarę, że dla niej przecież zerwał ze siostrą, i że nie powinna zakłócać pokoju rodziny, do której wchodzi. Ustąpiła! Chociaż i ją to kosztowało niemało.

Wizyta odbyła się z ogólnem zadowoleniem! Pani Czarska uroniła kilka łez, obejmując Celinę, przepraszała za swe zdenerwowanie, co przy dobrej chęci można było wziąć za usprawiedliwienie, upewniała o zgodzie całej rodziny na ten związek, zapraszając Celinę do siebie. Pan Michał promieniał z radości, a Celina uśmiechała się i brała wszystko za dobrą monetę.

W kilka dni później zajętą była pakowaniem swych rzeczy, gdy wszedł pan Władysław.

— Gdzież to się pani wybiera? — zapytał porywczo.

— Pan nie wie? Wyprowadzam się.

— Wygryzły więc panią? ha, trudno! Kto wyciąga główny los na loteryi życia, musi być przygotowanym na zawiść. Kiedy też i ja powiem o sobie: dopłynąłem do portu.

Stał na boku ze spuszczonemi oczyma, wiercąc laską w podłodze. Słaby blask lampy, przyćmionej umbrą, padał na jego postać, kryjąc twarz w cieniu. Celina z szeroko otwartemi oczami wpatrywała się w niego, wyraz coraz większego przerażenia oblewał jej twarz pobladłą. Ten ruch laski, te spuszczone oczy, to światło lampy, rzucające blask tylko na ręce, ona to już raz widziała. To był człowiek stojący w cieniu, podczas gdy drugi w pełnem świetle rozmawiał z jej ojcem w ów pamiętny wieczór. Przyszło to na nią jak objawienie, jakby głos z drugiego świata. Zdawało jej się, że ojciec stoi za nim i palcem wskazuje na swego mordercę. A ona teraz właśnie stąd się oddala, traci go z oczu na czas dłuższy, a może i na zawsze. Nie, ona go nie opuści! nie ujdzie jej baczności, najtkliwsza miłość nie będzie tak wytrwała, jak jej nienawiść. Lecz jak to zrobić, jak tego dokonać?

Przyłożyła rękę do czoła, a drugą oparła się o stół, cała bowiem drżała w namiętnem uniesieniu.

— Czy pani słabo? — usłyszała głos pana Władysława, jakby z wielkiego oddalenia.

— Tak, niedobrze mi — szepnęła, padając na krzesło.

— To zapewne ze schylania, podobnie stało się kiedyś Helence.

Ha! Miała już! Przez Helenkę dojdzie wszystkiego. Tam przebywa najczęściej, o jej względy stara się przecie. Ach, w jakież ręce wpadłoby biedactwo, gdyby nie to objawienie z góry. Lecz odtąd będzie czuwać nad nim, czuwać i śledzić, ślub uczyni ją wolną, panią swego czasu, będzie bywać u Helenki, a usilnemi staraniami pozyska jej zaufanie.

Po cichym ślubie państwo młodzi wyjechali w podróż. Do Rzymu, Neapolu, Sycylii! Nowe życie, zmiana miejsca, zatarły ostatnie wrażenia w umyśle Celiny. Bałwochwalcza miłość męża otoczyła ją jakby czarodziejskiem kołem. Miała wszystko, czego zapragnęła, zajeżdżali do najlepszych hoteli, powóz cały dzień był na jej usługi, zwiedzała okolicę, galerye, muzea i sklepy, w których mogła kupować, co tylko zapragnęła. Na szczęście dla kasy pana Michała życzenia jej były bardzo skromne, nie nauczyła się jeszcze wydawać pieniędzy. Najwyższą jej rozkoszą była natura, kąpała się w słońcu, zieleni, zachwycała się ogrodami, parkami, od rana do nocy była na powietrzu. Upajała ją ta odmienna przyroda, bogactwo roślinności, przejrzystość atmosfery. Pogoda sprzyjała cudownie i podczas, gdy u nas wszystko leżało pod śniegiem, tam panowała już wiosna w całym przepychu.

Z końcem kwietnia wrócili do domu. Po słonecznem bogactwie Włoch, wydał jej się Kraków jak baśń czarodziejska, osnuty we mgły, poważny, zadumany, jakiś zagadkowy i nieprzystępny.

A ta wiosna nasza spokojna, rozmarzona, powolnie rozkwitająca, po tamtej gorącej, w całem bogactwie się zjawiającej, robiła na niej wrażenie tak swojskie, tak urocze, że oddawała jej się, jak gdyby po raz pierwszy ją widziała.

I naprawdę, była to pierwsza, prawdziwa wiosna w jej życiu, wszystko się do niej uśmiechało, wszystko szczęściem oddychało. Mieszkanie obszerne, wychodzące na planty, od rana napełnione świergotem ptactwa i zapachem bzów, usposabiało radośnie. Bogato i artystycznie urządzone, zadawalniało jej wykwintną naturę, tak boleśnie odczuwającą dotychczasowy brak piękna. Z dziecinną pustotą przestawiała coraz inaczej meble, z artystycznym wdziękiem układała bukiety, radował ją dobór barw, dywany, obrazy, rzadka porcelana. Pan Michał niczego nie żałował i mimo kiwania głową brata Ferdynanda, a ostrej krytyki pani Czarskiej, zakupił meble z wystawy sztuki stosowanej, stołowy pokój zaś z zakopańskich wyrobów.

Tak przeszedł kwiecień i część maja, pogoda była zachwycająca, mąż zakochany, poczciwy pan Ferdynand dobry i uprzejmy, nawet pani Czarska trochę kwaskowata, ale bardzo grzeczna. Codziennie wieczorem jeździli w okolice Krakowa, na Wolę, Bielany, do Tęczyna, tam wysiadali i chodzili po lasach, po parku, śmiejąc się, gawędząc, jak dwoje rozbawionych dzieciaków.

Wszystko przerwało się z przyjazdem Helenki. Wyjechała do znajomych, a teraz wróciwszy, przybiegła zaraz do Celiny.

— Ach, jak się doskonale bawiłam — mówiła ściskając i całując Celinę — chyba nigdy w życiu tak się jeszcze nie bawiłam, w końcu jednak stęskniłam się do ciebie i do papy.

— Na czemże polegała ta dobra zabawa — odparła Celina, uśmiechając się — pewnie miałaś tam jakiegoś nieodstępnego adoratora.

— Miałam i jeszcze jakiego, żebyś wiedziała — zapewniała Helenka figlarnie.

— No mówże — zawołała Celina, pociągając ją na kanapę i siadając obok niej.

— Wyobraź sobie, że ni z tego ni z owego zaproszono również Władka.

— Co, pana Domejkę?

— A tak, tak — mówiła Helenka, śmiejąc się — byliśmy ze sobą prawie ciągle razem, no i w końcu oświadczył mi się.

— Oświadczył ci się — zawołała Celina chwytając ją za rękę.

— Od wczoraj jestem narzeczoną — pochyliła zarumienioną twarz i przytuliła się do ramienia Celiny, nie spostrzegając jej bladości.

— Cóż nie winszujesz mi — szepnęła po chwili.

— Kochasz go więc? — zapytała Celina z westchnieniem.

— Nadewszystko! — odparła entuzyastycznie podnosząc głowę i patrząc w twarz Celiny. — On był marzeniem mojem, pod jego postacią przedstawiałam sobie ulubionych bohaterów, takiego Kmicica, Skrzetuskiego.

— Dlaczegoż nie Augusta w „Spekulancie".

— Wstydź się — zawołała Helenka — myślisz, że nie znam „Spekulanta"? Jakąż rolę przyprzydzielasz Władkowi? Zawsze masz mu coś do zarzucenia, widzę, że nie cieszysz się mojem szczęściem, a ja — tak byłam uradowana z twojego — i przy tych słowach wybuchła płaczem.

— Helenko przebacz, żal mi tracić ciebie, boję się...

— Czego? — zapytała Helenka obcierając chusteczką oczy.

— Czy nie jest miły, wykształcony, czy nie kocha mnie? A że przypadkiem jestem bogatą, to nie potrzebuję zaraz w każdym widzieć łowcy posagowego. Zresztą jakim jest kocham go — dodała z energią — i pójdę za niego choćby cały świat sprzeciwiał się temu. Ale dosyć o tem, teraz mów mi o sobie! No jakże, bardzo cię mąż kocha, dobrze być mężatką?

Zapomniała o łzach i przykrości, różowa twarzyczka przybrała wyraz zaciekawienia z figlarnym uśmiechem patrzała na Celinę. Lecz ta odparła poważnie nie dorozumiewając się pytania:

— O tak, mąż mój jest bardzo dobry...

— Jakoś chłodno mówisz o swojem szczęściu — rzekła Helenka z rozczarowaniem. — Czyżby ci już dał jaki powód do niezadowolenia? podobno strasznie jest niestały.

Celina uśmiechnęła się.

— Może przedtem, teraz dla mnie jest najczulszym i najlepszym. Nie umiem entuzyazmować się, ale mam to przekonanie, że trafiłam na zacnego i dobrego człowieka.

— Ho, ho, jak to moja żona mnie broni, lecz przeciw jakim zarzutom? — zabrzmiał wesoły głos pana Michała.

— Oto ta mała osóbka zarzuca ci niestałość — mówiła Celina wskazując na Helenkę.

— Czy podobna, czemże zasłużyłem sobie na to — śmiał się pan Michał siadając na fotelu jak najbliżej żony.

— Przypomnij pan sobie dawne swoje sprawki — odparła Helenka czerwieniąc się.

— Ach, to było jeszcze za dawnych kawalerskich czasów, teraz mam w żonie dobrego stróża...

— A ty brzydalo, to wierność twoja od strzeżenia zależy? — zawołała Celina uderzając go po ręce.

— Dajcie państwo pokój tym czułościom — przerwała Helenka figlarnie — a opowiedzcie mi raczej coś ze swojej podróży, bawiliście blisko trzy miesiące, to nie żarty, kawał świata można zwiedzić.

— Bawiliśmy tylko we Włoszech — zauważyła Celina.

— No i cóż, dużo nowego widziałaś?

— Cóż ci mam opowiadać, wszystko zależy od wrażeń osobistych, każdy człowiek to samo miejsce inaczej widzi i co innego czuje.

— Ot to gadanie, dużo dowiedziałam się z tego — zawołała Helenka krzywiąc się.

— A cóż się pani chce dowiedzieć — zapytał śmiejąc się pan Michał — najgłówniejsza rzecz, że byliśmy ciągle razem i dobrze nam było, prawda Cesiu?

— Prawda — odparła uśmiechając się — już drugiej takiej wiosny chyba w życiu mieć nie będę.

— A to dlaczego — zawołał pan Michał — na przyszły rok pojedziemy sobie znowu.

— No zanim pojedziecie znowu i tyle będziecie opowiadać co obecnie, pokażcie mi przynajmniej wasze mieszkanie — mówiła Helenka — to zapewne twój pokój, a tam salon, prawda?

— Tak jest, chodź obejrzyj — mówiła Celina wiedząc, że tem sprawi przyjemność mężowi — to własny mój salon, w którym mogę przyjmować kiedy mi się podoba, nie tak jak żony innych adwokatów, zmuszone dzielić swój z klientami męża.

— Ten różowy ton w meblach i obiciach bardzo ładnie wygląda — zauważyła Helenka rozglądając się w dużym pokoju, pełnym kwiatów i zieleni. Stołowy jak widzę wykładany drzewem — jednem słowem śliczne mieszkanie, i cóż ty na to Cesiu?

— A cóż, cieszę się i umiem cenić, gdyż jak wiesz zakosztowałam przedtem i biedy i tułaczki.

— Tak, tak, u ciotki Domejkowej naprzykład — zaśmiała się cichutko — wracając jednak do mieszkania utrzymuję stanowczo, że podobne wymysły i urządzenia można mieć tylko we własnym domu. Papa musi mi kupić dom jak wyjdę za mąż.

— Czy się na to zanosi? — zapytał pan Michał z uśmiechem.

— Nic nie powiem — odparła filuternie — a teraz uciekam, bo i tak za długo już zabawiłam.

* *

Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika tygodniowa

Przysłowia są filozofią narodów. Tak nas uczono swojego czasu w szkole, a każdy dzień przynosi nam nowe dowody, że bynajmniej nie mylili się ci, którzy w nas to wpajali.

Nigdy chyba nie miało właściwszego zastosowania stare przysłowie: „Poznać pana po cholewach", jak w obecnych stosunkach. Dzisiaj tylko ci, którzy chodzą w butach z cholewami, nie noszą krawatek, a nos obcierają palcem, nie chustką, są prawdziwymi panami, „trzewiczkowi" zaś schodzą powoli na psy i nikt się z nimi nie liczy. Nawet gdyby który z nich chciał udawać pana i paradować w butach z cholewami, co zwłaszcza teraz, przed wyborami, mogłoby wpłynąć bardzo dodatnio na wyrobienie mu zaufania pośród wyborców, nie może sobie pozwolić na to, gdyż buty z cholewami to obecnie majątek.

Także przysłowie: „Gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść" sprawdza się obecnie w całej pełni. Nie mamy tu na myśli kuchni obywatelskich dla głodnej inteligencyi, gdzie się wydaje obiady po dziesięć marek od osoby, a gdzie zajętych jest więcej, niż sześć kucharek, aby się im nie przykrzyło. Obiady te są wprawdzie skromne i objeść się nimi nie można, ratują przecież inteligentów od głodowej śmierci. W drastyczniejszych jednak kolorach maluje się to przysłowie odnośnie do naszych stosunków politycznych. W Warszawie jest tyle kucharek politycznych, ile stronnictw, a każda chciałaby gotować na swój sposób, czego następstwem jest chaos, rozgardyasz i w samej rzeczy brak jedzenia, tak w ścisłem tego słowa znaczeniu, jak i w przenośni. Gotuje się ciągle potrawę, która się nazywa „większością rządzącą", ale w żaden sposób jej dogotować nie można.

W kronikarskiem życiu wchodzi w grę przysłowie: „Nie krzycz hop, dopóki nie przeskoczysz", z tą jedynie zmianą, że zamiast drugiej jego połowy należałoby powiedzieć: „dopóki się nie skończą wakacye, a z niemi czas wyjazdu na wywczasy letnie".

Sądzi kronikarz, że Weronika wyrzekła się już zamiaru opuszczania Krakowa, celem poratowania zdrowia wdychiwaniami świeżego powietrza, przekonuje się przecież, że się pomylił, a radość, która z tego powodu ogarnęła jego serce i kieszeń, była conajmniej przedwczesną.

Onegdaj Weronika, powróciwszy z posiedzenia jakiegoś Komitetu, a wchodzi w skład conajmniej z tuzina, zawołała zaraz na samym wstępie.

— Jadę!... Dłużej już w Krakowie nie wytrzymam...

Niepotrzebnie napędziłeś mi strachu swojemi głupiemi gadaniami o bezpośredniem niebezpieczeństwie, jakie nam może grozić w związku ze sprawą górnośląską. Informacye twoje nie sprawdziły się i bardzo się dziwię, że prokurator przepuścił coś podobnego. Staraj się zatem o pieniądze, gdyż chciałabym opuścić Kraków jeszcze w tym miesiącu, gdyż ci chyba wiadomo, iż od pierwszego lipca podnosi minister kolei taryfę osobową znów o pięćdziesiąt procent... Daję ci trzy dni do załatwienia tej sprawy, po ich upływie złożysz...

— Sprawozdanie... — dokończył kronikarz.

— O, nie!... Pieniądze! Do tego czasu masz się o nie postarać...

W takim razie muszę pójść w ślady ministra Steczkowskiego i zgłaszam swą dymisyę ze stanowiska ministra domowych finansów!...

— Ja zaś — odparła na to z energią Weronika — idąc w ślady Witosa dymisyi tej nie przyjmuję i polecam ci pełnienie dalsze obowiązków...

Na takie *dictum acerbum* trzeba było uszy położyć po sobie. Weronika stanowi bowiem w domu „większość rządzącą" (choć nie zawsze parlamentarną...).

Zaczął zatem kronikarz z innej beczki:

— Nie radziłbym wyjeżdżać z Krakowa... Jestem zdania, że tego roku pogoda nie dopisze. Chłodno już jest, a tylko czekać, jak się na dobre rozdeszczy. Co to zaś za przyjemność siedzieć cały dzień w dusznej izbie i nie módz nawet nosa wystawić na świeże powietrze. W ten sposób nie odrestaurujesz swego zdrowia.

— Także głupie gadanie, na jakie się tylko mężczyzna zdobyć może... Właśnie dlatego, że jest chłodno, można się na pewne spodziewać pogody. O tem wie nawet każda baba wiejska, a zdaje się nie wiedzieć pan kronikarz „*Nowości Illustrowanych*", który się powinien znać na wszystkiem, więc i na meteorologii... Ponadto i Medard był suchy...

— To niczego nie dowodzi!... W te przepowiednie ja zupełnie nie wierzę. Ostatnią Barbarę mieliśmy przecież „po wodzie", a Boże Narodzenie było „po błocie", choć powinno było być „po lodzie".

— Tłómacz sobie, jak ci się podoba, ja ci jednak zapowiadam, że stanowczo wyjeżdżam, a twoim obowiązkiem jest postarać się o to, aby było za co...

W ostateczności postanowił kronikarz spróbować jeszcze jednego środka, który wydawał mu się najpewniejszą deską ratunku. Zarzucił zatem wędkę, sądząc, że na nią rybka się schwyci.

— Tak... Ale kto wie, czy i ja nie będę musiał w tym czasie wyjechać z Krakowa i to może na czas dłuższy — rzekł robiąc bardzo dyplomatyczną minę, niczem minister Skirmunt, gdy się swojego czasu ubierał w białe spodnie, ofiarowane mu swojego czasu przez rząd rosyjski jako nagrody za wzięcie udziału i robienie lojalnej miny podczas uroczystości odsłonięcia pomnika „naszej dobrodziejki", Katarzyny II.

— A dokąd to, jeśli można wiedzieć? — zapytała, widocznie zaciekawiona.

— Do Warszawy...

— A tam po co?...

— Proponują mi, moja droga, objęcie jednej z tek ministeryalnych przy obecnem przesileniu...

— A to której?... O ile cię znam, wiem dobrze, iż do piastowania żadnej z nich się nie nadajesz. Już dawno zrezygnowałam z nadziei zostania panią ministrową... Gdy ja chciałam, ty nie chciałeś, teraz, gdy się tobie zachciewa, ja się nie zgadzam, gdyż milsze jest mi moje zdrowie, niż twoje ministrowanie... I to może nie dłużej jak jakiś tydzień lub dwa, choć bowiem polityką się nie bawię, czuję to dobrze, że cały gabinet musi się w krótkim czasie rozlecieć.,. A który też z portfeli obiecano ci łaskawie?...

— Najprawdopodobniej Kultury i Sztuki...

— To sobie wybij z głowy... Zostaw to innym... Ten portfel wedle słów „Kuryerka" nie ma stanowczo racyi bytu. Do Warszawy nie pojedziesz, ministrem nie będziesz, przez czas mojej nieobecności masz siedzieć w Krakowie i pilnować mieszkania, aby nas kto nie okradł...

Zawiodła zatem i ta ostatnia nadzieja!...

Wieczorem odbyła się w głównej kwaterze kronikarskiej wielka narada wojenno-famílijna, w której wzięła udział cała rodzina, nadto ciocia Klara z głosem doradczym, oraz pani Gadulska i panna Bajczarska, jako ekspertki. Obie lato ubiegłego roku spędziły na świeżem powietrzu, którego łykanie nie zrobiło im jednak dobrze. Wróciły jeszcze chudsze niż wyjechały, wyschnęły bowiem z ciekawości, co się dzieje w Krakowie pod ich nieobecność i jak sobie dają bez nich radę ich znajomi, pozbawieni wiadomości z pierwszej ręki. W każdym razie mogły zabierać głos w sprawie wyjazdu letniego.

Na pierwszym punkcie programu obrad znalazła się kwestya dokąd wyjechać. Po dłuższej dyskusyi postanowiono, że najodpowiedniejsze miejsce będzie Kozi Ogon, położony koło jednego z większych zdrojowisk. Będzie się miało swobodę, można będzie rano chodzić w podartych pantoflach i brudnym kaftaniku, po południu zaś, wystroiwszy się w jedwabie podążyć na deptak, z pod Koziego Ogona bowiem do zdrojowiska zaledwie dziesięć minut pieszej drogi, a Weronika oświadczyła, że nawet i na świeżem powietrzu musi widzieć ludzi inteligentnych, aby nie „schłopieć" w zupełności.

Drugi punkt, więcej już kronikarza obchodzący, to sprawa kredytów, potrzebnych na wyjazd i niezbędne doń przygotowania. Referowała panna Bajczarska. Ustalono, że na przygotowania potrzeba około dwadzieścia siedm tysięcy marek, koszta podróży wyniosą dwa tysiące, pięćdziesiąt tysięcy trzeba z góry złożyć za mieszkanie, a na opędzenie pierwszych wydatków, bodajby tylko do końca miesiąca, musi się rozporządzać dwudziestu tysiącami. *Summa summarum* wystarczy na razie sto tysięcy. Kronikarzowi, gdy to usłyszał, zrobiło się tak przyjemnie, jak gdyby mu kto wbił szydło po samą rękojeść i to w najboleśniejszą część ciała. Nie odzywał się przecież, gdyż nikt go o zdanie nie pytał. Dopiero, gdy Weronika zwróciła się doń ze słowami:

— Czy słyszałeś?...

— Słyszałem! — odpowiedział — ale skąd ja wezmę pieniędzy?

— W tem już twoja głowa... Obowiązkiem pana domu jest starać się o fundusze na utrzymanie rodziny... Ja ci się żenić nie kazałam...

Rozpoczęła się zatem dla kronikarza bieganina po rozmaitych przyjaciołach ludzkości i potrzebującej gotówki, proszenie o poręką znajomych, ostatecznie przecież udało mu się zebrać potrzebną sumę. Samego dziwiło, że ludzie mają tyle zaufania do kronikarskiej hipoteki, a tłómaczył to sobie notatką umieszczoną w jednej z poprzednich kronik, o tych dobrach na księżycu, które nie podlegają wywłaszczeniu, ani parcelacyi.

Po powrocie z każdej takiej wycieczki witała Weronika kronikarza pytaniem:

— A co z pieniędzmi?

— Dałaś mi trzy dni do rozporządzenia, bądź zatem konsekwentną i czekaj cierpliwie...

A gdy trzeciego dnia wieczorem przyniósł pełny worek banknotów i wysypał je na ołtarzu domowego Molocha, zgarnęła je najspokojniej do swej torby i rzekła:

— No, no... Nawet się nie spodziewałam, że się sprawisz tak gracko...

Następny tydzień zamienił dom w istne piekło. Przewrócono wszystko do góry nogami, wyjmowano, chowano znowu, prano, prasowano, ostatecznie po sześciu dniach ogólnego zamętu wszystko było do wyjazdu gotowe, Weronika z pociechami opuściła Kraków, oddając mieszkanie w opiekę małżonka, jego zaś w Boską i stróżki, nakazując jej aby pilnie baczyła, o jakiej porze pan wraca do domu i czy nie przyjmuje podejrzanych odwiedzin. Z okna wagonu rzuciła jeszcze gdy pociąg był już w ruchu rozkaz:

— A nie zapomnij tam posprzątać w domu, bośmy wszystko zostawiły rozrzucone!

Powróciwszy do domu, oddał się kronikarz rozmyślaniom nad swą dolą i przeklinał w duchu tę chwilę, gdy mu się zachciało zakosztowania słodyczy małżeńskiego pożycia. Aby Weronika mogła przez miesiąc łykać świeże powietrze, musiał się dość nakłopotać i naprosić, przez rok cały, lub dłużej będzie zmuszony ponosić konsekwencye jej wyjazdu i być przygotowanym na każdym kroku na powitanie melodyjnem: „Nu... Co bedzi?..."

Będzie miał przynajmniej spokój w domu przez miesiąc i to nie zupełny, gdyż nocną porą karakony urządzają sobie „bieg okrężny" po jego apartamentach, a myszy, niezadowolone pustkami w spiżarni, dobrały się już do jego ostatniej pary trzewików, tak, iż obecnie zmuszony jest stawiać je na stole, aby nie zostać „unieruchomionym". Swojego czasu zjadły podobno myszy króla Popiela, wraz z butami, gorzej byłoby, gdyby kronikarz został na tym świecie, a zeszło z niego tylko jego obuwie.

W każdym razie urozmaica sobie jak może swą samotność i ogłosił w tym celu w krakowskiej „Fortunie", organie kojarzenia małżeństw, anons, iż „w celu wymiany myśli i wspólnych spacerów poszukuje znajomości młodej, przystojnej osoby płci żeńskiej, któraby była, podobnie jak on, zdeklarowaną przeciwniczką małżeństwa".

Pozatem zajmuje się polityką daleko żywiej, niż to czynił dotychczas i żałuje mocno, że nie jest współpracownikiem żadnego pisma codziennego, całą bowiem złość, jaka rozsadza jego wnętrze wyładowałby w piorunujących artykułach wstępnych. Lloyd George, Trocki, Petruszewicz i inni poznaliby dopiero, jak jest wobec nich usposobionym za to, iż dzięki im głównie stosunki są tego rodzaju, że na wysłanie żony na świeże powietrze na miesiąc trzeba „na razie" wydać sto tysięcy marek.

A temu chyba nikt nie zaprzeczy, że właśnie ci panowie i im podobni są tego powodem. Lloyd George robi zamęt w polityce światowej, Petruszewicz waśni ze sobą narody, Trocki klasy społeczne. Dawniej, mając w kieszeni sto tysięcy marek, można było najspokojniej kupić w Krakowie nieobdłużoną kamienicę, wyjechać z rodziną na całe wakacye nad morze i tam się bawić doskonale. Kąpanie się w morzu naraża wprawdzie na połknięcie przez rekina, ale i to ma swoje dobre strony, dostanie się bowiem do jego żołądka pozwala raz na zawsze zapomnieć o doczesnych zmartwieniach i kłopotach. Natomiast ulokowanie się w kieszeni jakiegoś pana Hirschpranga lub jemu podobnego, co jest koniecznem następstwem wysłania Weroniki na świeże powietrze, jest mniej przyjemne, przypominając się stale co miesiąc koło pierwszego.

Kronikarz nie korzysta zatem w należyty sposób z wyjazdu swej małżonki na willegiaturę. Jej nieobecność powinna się przyczynić do odrestaurowania i jego zdrowia, niestety, ani myśli, aby można czas ten spędzić, jak się należy. Pierwszy już za pasem, rodzinie trzeba posłać nowy transport monety, a równocześnie rozpocząć spłatę obecnie zaciągniętych zobowiązań.

Oddaje się zatem rozmyślaniom, których tematem jest: 1) Czy małżeństwo jest w samej rzeczy rajem i przyczynia się do przedłużenia życia; 2) Czy doczekamy się powrotu normalnych stosunków. Na pierwsze pytanie odpowiedziałby, że małżeństwo byłoby może rajem, gdyby nie „anioły", które pobytu w nim bynajmniej nie uprzyjemniają. I na przedłużenie życia też nie wpływa, jak stwierdza to własnemi usty stodwudziestoletnia „panienka", o której niedawno czytaliśmy w *Kuryerze*, utrzymująca, że dojście do tak pięknego wieku zawdzięcza tylko temu, iż za mąż nie wyszła. Z odpowiedzi na drugie pytanie, co do poprawy stosunków, stanowczo już zrezygnował.

Intronizacya króla kurkowego.

Tradycyjna uroczystość strzelania królewskiego, która odbyła się w niedzielę dn. 12 bm. w Towarzystwie Strzeleckiem, miała tym razem charakter wyjątkowy i niezwykle podniosły.

„Strzelba królewska“, czyli strzelanie do drewnianego kura, rozpoczęte przed tygodniem w dniu abdykacyi poprzedniego króla kurkowego, którym był mecenas dr. Kazimierz Ostrowski, trwało w dalszym ciągu od godziny 4—6 popołudniu, przy licznym udziale strzelców.

W czasie najgorętszej walki o ostatni szczątek kura zebrało się na wielkiej sali strzelnicy liczne grono reprezentantów władz wojskowych i cywilnych oraz tłumy publiczności. W gronie gości zauważyliśmy jenerałów: Szeptyckiego, Osińskiego, Kosteckiego i Stillera z licznym orszakiem oficerów sztabowych i adjutantów, a nadto oficerów francuskich: jen. Tronnyo i płk. Caila. Przybyli nadto del. Kowalikowski, prez. Rolle, rektor Estreicher, prezes Akademii prof. Morawski, prezydent sądu Panek, prof. Axentowicz, dr. Pec i wielu innych.

Oprócz znakomitego grona oficyalnych gości zjawili się po raz pierwszy „nowozaciążni“ — drużyny harcerzy i harcerek, prowadzone przez swego prezesa prof. dra Ciechanowskiego. W ten sposób pragnęła chorągiew krakowska zaznaczyć swoją wdzięczność dla Towarzystwa strzeleckiego, które w ubiegłym roku za rządów dawnego króla mec. dra Ostrowskiego wznowiło swoje najświetniejsze tradycye, otwierając szkołę strzelania i władania bronią dla młodego pokolenia przyszłych obrońców Ojczyzny.

Z uderzeniem godziny 6 padł ostatni strzał królewski — resztę drewnianego kura strącił celnym strzałem mecenas dr. Kazimierz Ostrowski, co zebrana tłumnie Brać strzelecka powitała gromkimi okrzykami.

Prawie w ostatniej chwili, bezpośrednio przed rozpoczęciem uroczystej ceremonii intronizacyi zjawili się na sali najmilsi goście, powitani owacyjnie przez zebraną publiczność i starszyznę Towarzystwa. Byli to delegaci 2 p. szwoleżerów rokitniańskich, ppułk. Rabiński i ppułk. Jagrym Maleszewski, uczestnik nieśmiertelnej szarży pod Rokitną. Zjawili się oni na pierwszą wiadomość o ponownem obwołaniu królem kurkowym mec. dra Ostrowskiego, ktory w chwili wybuchu wojny jako prezes Oddziału konnego Sokoła, organizował dwa pierwsze szwadrony 2 pułku ułanów legionowych, obecnie 2 p. szwoleżerów.

Nowego króla wprowadzono pod purpurowy baldachim, rozpięty nad skarbcem i wspaniałem krzesłem królewskiem, a prezydent Federowicz, będący prezesem Towarzystwa, obwołał w sposób uroczysty królem kurkowym dra Kazimierza Ostrowskiego, obywatela miasta Krakowa, członka tutejszej Palestry i obrońcę 2 brygady Legionów w Marmaros-Sziget. Równocześnie przypiął mu oznakę władzy królewskiej, złotego kurka, zaś podskarbi Towarzystwa p. Smidowicz zawiesił mu na piersiach symbol najwyższego dostojeństwa, na Celestacie, srebrnego kura, ofiarowanego Bractwu przez króla Zygmunta Augusta w r. 1565.

Po pierwszem „orędziu“ królewskiem odbył się tradycyjny pochód, na czele którego postępowały po raz pierwszy drużyny skautowe w pełnym polowym rynsztunku. Za nimi strzelcy z bronią na ramieniu, reprezentanci władz i jeneralicya, a wreszcie nowy król kurkowy w otoczeniu prezydyum i nowych marszałków, którymi zostali najcelniejsi strzelcy pp. Wodzinowski i dr. Owsiński.

Po ćwiczeniach polowych i defiladzie skautów odbyła się tradycyjna „uczta królewska“, ograniczona rozmyślnie do rozmiarów skromnej wieczornicy. Mimo to nastrój był niezwykle podniosły i uroczysty. Długi szereg serdecznych toastów rozpoczął Król Jegomość serdecznem przemówieniem na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i Naczelnika Państwa. Przemawiali następnie prezydent Federowicz na cześć Króla, wyrażając radość z jego ponownego wyboru, jen. Szeptycki, architekt Biborski, dr. Gluziński (po francusku), prof. Morawski, jen. franc. Tronnyo i w. i.



Intronizacya króla kurkowego: Członkowie lwowskiej „Strzelnicy“ po „strzelaniu królewskiem“, z nowoobranym królem, Janem Sudhofem, w pośrodku.

Prastaremu Towarzystwu Strzeleckiemu należą się wyrazy szczerego uznania za nowy dowód „wiecznej młodości“, jaki złożyło przez rozszerzenie ram swojej działalności społecznej w kierunku wojskowego i strzeleckiego wychowania młodzieży harcerskiej.

Podobna uroczystość odbyła się także i na lwowskiej „Strzelnicy“, jednej z najpotężniejszych organizacyi mieszczańskich Lwiego Grodu. W życiu społecznem i politycznem Lwowa odgrywa „Strzelnica“ od lat szeregu bardzo wybitną rolę, wiodąc pod tym względem prym między wszystkiemi tamtejszemi polskiemi stowarzyszeniami.

Strzelanie „królewskie“ odbyło się i tutaj wedle wiekowego ceremoniału, ostatni szczątek drewnianego kura zestrzelił znany lwowski obywatel p. Jan Sudhof i on też na rok następny obwołany został królem. Uroczystość zakończyła tradycyonalna „uczta królewska“.

Twórca pokoju rygskiego
w swej rodzinnej wiosce.

Wiceminister spraw zagranicznych, Jan Dąbski jest politykiem nie „od parady“, jak tego złożył dowody w Mińsku i Rydze, także i w Warszawie, i gdyby ów nieszczęsny „klucz partyjny“, który także spraw zagranicznych przyznaje innemu stronnictwu, przy niedawnem przesileniu ministeryalnem był właściwie jedynym odpowiednim kandydatem na fotel opróżniony przez ks. Sapiehę.

Wiceminister Dąbski jest dzieckiem ludu, pochodzi z najbliższej okolicy Lwowa i bynajmniej nie wstydzi się swego pochodzenia z pod wieśniaczej strzechy, owszem uważa to za najwyższy zaszczyt i chlubę, że może dla dobra tego ludu pracować na tak wysokiem i odpowiedzialnem stanowisku.



Twórca pokoju rygskiego w swej rodzinnej wiosce: Uroczyste powitanie wice-ministra Dąbskiego w rodzinnym Kukizowie.

W dniu 12 bieżącego miesiąca odbyły się w rodzinnej wiosce zaślubiny siostry wiceministra. Na tę rodzinną uroczystość przybył też i on wraz z żoną z Warszawy, a pobyt „pana ministra“ między swoimi opisuje korespondent Kuryera lwowskiego w następujący serdeczny sposób:

„O 11 dojeżdżamy do Lwowa. Na dworcu zaimprowizowane serdeczne powitanie. Z listu prywatnego przypadkiem dowiedziano się o przyjeździe dzisiejszego kierownika ministerstwa wczorajszego — i dzisiejszego — towarzysza — jednego z najgorętrzych — w pracy w powiecie i kraju. Przypomina się młodość przedwojenna: wyjście z pod strzechy, twarde i ciężkie lata gimnazyalne, uniwersytet i praca polityczno-społeczna: Czytelnia akad., Koło Kościuszki T. S. L., lwowskie Koła ludowe, walka polityczna w powiecie i kraju. I przybyli koledzy tych prac i walk ze Lwowa i powiatu, przybyli chłopi, urzędnicy, nauczyciele, przyjaciele i towarzysze, powitać tego, który mimo rozłąki i oddalenia nigdy nie przestał być drogim i pamiętającym przyjacielem, który zawsze — prawdziwy probierz duszy ludzkiej — pozostał tym samym: człowiekiem nie rozrzucającym słów przyjaznych, kanciastym nieraz w obejściu, lecz zawsze wiernym, zawsze młodym w zapale i entuzyazmie — zawsze swoim.

Witają wiceministra rozjaśnione twarze, serdeczne dłonie, witają dźwięki kapeli z Siemianówki. Kilka słów powitania i podziękowania. Nie ma czasu — wieczorem Jasio — jak go nazywają przyjaciele — musi wracać do Warszawy.

Jedziemy automobilem do rodzinnej wsi Dąbskiego — Kukizowa. Droga odwrotna do tej, którą syn chłopski przebył od wsi do stolicy. Trzy kilometry, jakie takie — niema takich momentów w życiu ludowego polityka — a potem — morze falujące pod tchnieniem wichru. Wyboje, dziury, kamienie, trzęsawiska, dzieło lwowskiej rady pow., która — jedna z nielicznych pozostałości wśród świata o zmienionem obliczu — pozostała sobą wraz ze swoją gospodarką. Coś, jak gościńce na Jawie, o których pisze Multatuli, że wybrawszy się w drogę można mieć

nadzieję, że po pewnym czasie dojedzie się do celu. Dojechaliśmy, choć 3 km. przed celem automobil ugrzązł i musiano go wyciągać z błota.

Dojechaliśmy. Brnąc po błocie — trzeba było wysiąść — widzimy zdala bramę tryumfalną i rzędy oczekujących głów. Niema rady. Trzeba wyjść na gościniec i w grząskiem błocie przejść przez bramę.

Młody parobczak podaje Dąbskiemu chleb i sól i wypowiada kilka słów serdecznych. Siostra rzuca się bratu na szyję. Z góry, od chałupy, schodzi matka, pochylona wiekiem staruszka i płacze. Koło się two rzy około Jasia, który wrócił do swej wsi. I Dąbski



Twórca pokoju ryskiego w swej rodzinnej wiosce: Wice-minister Dąbski w towarzystwie najbliższej rodziny.

naraz, ulegając wewnętrznej potrzebie, poczyna mówić, tak jakby patrzył na drogę życia, którą przebył. Mówi pozornie twardo, bez wzruszania się i ozdób, z tą chłopską rzeczowością, która uczucie, słowo serdeczne, zmartwienie latami nieraz chowa we wnętrzu, pasuje się z niem, żyje niem samotnie i tylko wibracyą, idącą od duszy do dusz, odczuć się pozwala.

Trudno tę mowę streścić. Będą ją pamiętali obecni, będzie ją i Dąbski pamiętał, choć pozornie bardziej szara i twarda była ta mowa od mów oficyalnych. Pamiętają go tu — mówił — i starsi towarzysze. Oto dzięki rozumnym rodzicom poszło dziecko chłopskie kształcić się do miasta. Twardą była dla stóp ta nieutorowana jeszcze droga. Twarde lata, lata walki z biedą, walki z zacofaniem i ciemnotą. Przebył tę drogę. I dziś — już nie pamiętam, co jest wspomnieniem przemówienia, a co reflekcyą — wraca do wsi niezmieniony — wierny sprawie. Ta — tu jaskrawie dostrzeżona łączność między człowiekiem a gruntem, z którego wyrósł, to przechowanie wszystkich chłopskich zalet i pomożenie ich wiedzą i ogarnięciem świata przez rozszerzony wzrok, ta miłość i wierność łącząca człowieka z ziemią, oto podstawa konsekwencyi, siły i wiernego trwania w działaniu. To wzbudza, wzmaga zaufanie.

I życzył Dąbski, by tą drogą, którą on przeszedł, dziś już lepiej udeptaną, przeszły tysiące chłopskich synów, wiernych sprawie. By tylko zdolności i charakter rozstrzygały o losie i stanowisku człowieka. By wzmagała się praca na rzecz Polski i sprawy ludowej.

Mimo, że twarde były słowa, czuli witający ich prawdę wewnętrzną i żar. Czuli, że coś z nich do nich przemawia. Było to wymowne, zdające się mówić, milczenie, w którem dusza treść swą bez słów innym oddaje. I później krótkie, serdeczne i oszczędne chłopskie oklaski, okrzyki: „Niech żyje!" i słowa pożegnania: „Dziękuję serdecznie, wybaczcie, ale teraz muszę na chwilę pójść do rodziny, do chałupy".

Na wzgórzu zwyczajna chałupa i obejście. Przeszła przez nią śmierć. Zabrała ojca, brata, doskonale się zapowiadającego, trzech szwagrów. Siadamy przy stołach. Ale Dąbski niema ani chwili spokoju. Wciąż koło ludzi przy nim.

Czas jechać do Jaryczowa. Tam mieszka siostra, p. Julia Szponarska, której ślub z p. Zielińskim, gospodarzem, ma się za chwilę odbyć. Jedziemy: pp. Dąbscy z rodziną automobilem, my wózkiem z ks. dziekanem wprost do kościoła.

Automobil przybywa po nas. Burmistrz wita ministra krótką, serdeczną przemową. Dąbski odpowiada. Potem ślub dorodnej, choć zmizerowanej p. Julii o żywych, wesołych i rozumnych, dziś załzawionych — taki to niewieści niezawsze uzasadniony obyczaj — czarnych oczach. Pan młody: sympatyczny, inteligentny gospodarz.

Już po ślubie. Czas liczymy na minuty. Chwila na weselnym obiedzie. Fotografia rodziny Dąbskich na podwórzu. Życzenia, pożegnanie. Wracamy i przybywamy na dworzec 3 minuty przed odejściem warszawskiego pociągu. Minął piękny, symboliczny dzień, wracamy do powszedniego życia: Dąbski do Warszawy, my do zajęć".



Ks. Hirohito w Paryżu: Japoński następca tronu przy sadzawce ze stuletnimi karpiami w Fontainebleau.

Korfanty w pojęciu Amerykanów.

Ameryka jest wprawdzie od nas bardzo oddalona, znajduje się nie tylko za siódmą górą i za siódmą rzeką, a nawet i za Oceanem, dzięki jednak ułatwionym obecnie stosunkom wzajemnego porozumiewania się, powinnyby obie części świata być jak najdokładniej poinformowane o tem, co się w drugiej dzieje. Należałoby się spodziewać, że informacye te, o ile dotyczą stosunków europejskich, podawane będą amerykańskim czytelnikom w sposób właściwy, to jest, że oparte będą na rzeczywistości, nie na bladze i humbugu, wywołujących jedynie przykry uśmiech politowania lub zdziwienia. Raczej należałoby się spodziewać, że Europa fałszywie przedstawia sobie stosunki amerykańskie, zupełnie jej nieznane, o których jedynie słyszała różne cudowne opowieści.

Przekonujemy się przecież, że jest odwrotnie. Europejczyk zupełnie jasno przedstawia sobie z tego, co słyszał i czytał, amerykańskie stosunki, choć tam nigdy nie był, mieszkaniec Ameryki natomiast, choć niejednokrotnie sam dopiero niedawno wyemigrował do Ameryki, zupełnie fałszywe ma pojęcie o tem, co się u nas dzieje.

Dowodem tego illustracya, zamieszczona przez jedno z polskich amerykańskich pism, przez nas powtórzona. Przedstawia ona Wojciecha Korfantego, rzekomo „z obrazu Wojciecha Kossaka", a tak ucharakteryzowanego, iż gdyby nie szarfa z napisem „Korfanty", którą jest przepasany, nawet sam ten, którego wizerunek przedstawia, z pewnością by nie odgadł, gdyby go zapytano, kto to taki? O ile wiemy. W. Kossak podobnego obrazu w kraju nie namalował, prawdopodobnie powstał on bez jego współpracy, lecz tylko na jego odpowiedzialność, za Oceanem, gdzie się wogóle nie liczą z tem, co się u nas nazywa prawdą historyczną, własnością autorską i i innymi trącącymi stęchlizną zwyczajami starego świata. Korfanty kieruje powstaniem na Górnym Śląsku, oczywiście zatem musi siedzieć na koniu z szablą w dłoni, a na głowie mieć rogatywkę, tak samo zupełnie, jak miał Kościuszko pod Racławicami.



Korfanty w pojęciu Amerykanów: Illustracya jednego z pism amerykańskich, przedstawiająca górnośląskiego Dyktatora.

Ks. Hirohito w Paryżu.

Po przybyciu do stolicy Francyi, złożył przedewszystkiem japoński następca tronu, jak już o tem poprzednio donosiliśmy, oficyalną wizytę prezydentowi Millerandowi, przyczem wręczył mu odznakę orderu Chryzantemum.

Millerand wydał śniadanie na cześć gościa japońskiego, w którem wzięli udział Briand z ministrami i marszałkowie Joffre, Foch i Petain. Millerand wygłosił mowę powitalną na cześć księcia japońskiego, składając przytem Japonii życzenia pomyślności. Książę japoński w odpowiedzi wyraził podziękowanie za serdeczne przyjęcie, w którem widzi nowy dowód uczuć przyjaznych, łączących Francyę i Japonię, które walczyły wspólnie w imię tych samych ideałów sprawiedliwości i wolności. Nawiązując zaś do podróży po zniszczonych przez wojnę departamentach francuskich, dodał książę, że zobaczy, jak naród francuski pracuje i energicznie podnosi się z ruiny.

Po wizytach u Prezydenta Rzeczypospolitej, Prezydenta Izdy i Senatu, ministrów i ambasadorów, złożył Ks. Hirohito hold na „grobie nieznanego żołnierza". Przybrany w mundur, marszałka japońskiego, ozdobiony wstęgą Legii Honorowej, książę

odczytał po japońsku przemówienie następującej treści, powtórzone po francusku przez marszałka Kia Iu.

„Pragnąłem osobiście złożyć hołd Japonii tej mogile, która jest symbolem wszystkich cnót wojskowych i obywatelskich narodu francuskiego. Na tem wzniosłem miejscu otoczonem pobożną czcią narodu i pełnym wzruszenia podziwem całego świata nie będę mówił czczych słów, z niego chcę czerpać naukę i wskazania.

„Pełny chwały żołnierzu Francyi! Uosabiasz w moich oczach nietylko bohaterstwo swoich towarzyszy, ich niezmordowaną i surową wytrwałość ale uosabiasz przerażającą liczbę tych wszystkich, którzy utworzyli święty wał obywatelstwa, prawa i cywilizacyi, broniąc ich od tylokrotnych napaści wrogich sił. Żołnierz francuski nietylko służył świętej sprawie obrony ojczyzny, ale ideałowi pokoju i sprawiedliwości, który w jego myśli miał przekroczyć granice jego kraju i rozpowszechnić się po świecie.

Temu żywemu płomieniowi Japonia oprzeć się nie była w stanie, bo w tem ognisku z równą siłą zlały się uczucia patryotyczne i kult dla sprawiedliwości. I oba nasze narody walczyły ramię przy ramieniu za tę samą szlachetną sprawę. Aby straszliwa ofiara, którą we wzruszającej prostocie symbolizuje ten grób, nie poszła na marne, trzeba aby pokój na coraz trwalszych opierający się podstawach jednoczył narody, lepiej o swoich obowiązkach uświadomione, a mniej zacięte w wykonywaniu przynależnych im praw.



Otwarcie przystani Akademickiego Związku Sportowego
Budynek zarządu A. Z. S.

Takie myśli budzi we mnie wzniosły majestat tego tryumfalnego pomnika, mniej jednak wzniosły od ducha, który uosabia. Pochylam się bardzo nisko z religijną czcią przed tym grobem, a w mojej osobie cały naród japoński zaprzyjaźniony z narodem francuskim, składa w tej świątyni honoru, męstwa i obowiązku hołd podziwu i uznania".



Ofiarność powiatu łomżyńskiego: Członkowie Komitetu górnośląskiego w Łomży. Od lewej ku prawej p. Marchewka, sędzia Mikułowski, rejent A. Cholewiński (prezes Komitetu), sędzina Duszyńska, starosta dr. Żak, J. Cholewińska, prezydent miasta Swiderski, porucznik K. Kierkowski.

Ofiarność powiatu łomżyńskiego.

Akcya plebiscytowa na Górnym Śląsku, prowadzona przez polskie społeczeństwo, pociągnęła za sobą i wielkie wydatki, które pokryć musiała ofiarność publiczna. Staliśmy wobec przeciwnika zasobnego, nie liczącego się z groszem, aby sprawy nie zaprzepaścić, musieliśmy się zdobyć na daleko idące wysiłki, by módz pokryć koszta akcyi plebiscytowej. Ze strony Niemiec rzucono na ten cel setki milionów, nas kosztowało to mniej wprawdzie, a grosz na ten cel zdobywało się nie tak łatwo. Społeczeństwo polskie stwierdziło przecież, że należycie docenia ważność sprawy i niejednokrotnie poprostu odejmowało sobie od ust, byle módz pospieszyć z pomocą braciom górnośląskim. Na listach ofiarodawców widzieliśmy datki idące w tysiące marek, nie brakło między nimi i kilkumarkowych. Był to prawdziwie „wdowi grosz", rzucony do skarbony narodowej.

Komitety plebiscytowe potworzyły się w całym kraju, nie było zakątka na polskiej ziemi, gdzie nie zajmowanoby się sprawą Górnego Śląska, a troska o jego los i dziś jeszcze nas niepokoi. Ruch powstańczy na Górnym Śląsku poparło również materyalnie polskie społeczeństwo, komitety plebiscytowe zmieniły się na komitety spieszące z pomocą ofiarom przemocy.

Pomiędzy powiatami, w których zajęto się sprawą górnośląską, zasługuje na szczególniejszą wzmiankę Ziemia łomżyńska, gdzie, dzięki zapobiegliwości i energii tamtejszego Komitetu, w przeciągu pięciu miesięcy zebrano na ten cel trzy i pół miliona marek. A trzeba dodać, że okolice te w ciągu siedmiu lat wojny ucierpiały bardzo, ostatnio dała im się we znaki inwazya bolszewicka. Mieszkańcy powiatu łomżyńskiego, pomni swych obowiązków obywatelskich, nie poszczędzili przecież grosza, gdy szło o ratowanie zagrożonej narodowej placówki.

Otwarcie przystani Akad. Związku Sportowego.

W niedzielę dnia 19 czerwca b. r., odbyło się w Krakowie uroczyste poświęcenie budynku i przystani Akademickiego Związku Sportowego przy ul. Zwierzynieckiej l. 48. Dzięki niestrudzonym zabiegom zarządu, oraz wydatnej pomocy czynników rządowych i autonomicznych, udało się sprawę szczęśliwie do skutku doprowadzić i oddać do użytku młodzieży akademickiej nadbrzeżny budynek wraz z przystanią.

Na uroczystość poświęcenia budynku i przystani, oraz chrztu świeżo zbudowanych łodzi przybyli: profesorowie Uniw. Jagiell., Akademii Górn. z rektorem Hoborskim, Akademii sztuk pięknych, starosta Kowalikowski, wiceprezes m. Rolle, jen. Stiller, delegat Ministerstwa robót publ., reprezentant krakowskiego „Sokoła" i Tow. „Żegluga Polska", przedstawiciele węgierskich klubów sportowych z Budapesztu i t. d.

Aktu poświęcenia dokonał prorektor Uniw. Jag. ks. dr Sieniatycki i on też pierwszy przemówił do uczestników uroczystości. Po przemowie ks. Sieniatyckiego zabrał głos prezes Związku, p. Goettel, poczem prof. Akad. Górn., inż. Drobniak, ochrzcił łódź, ufundowaną kosztem akademików górników, imieniem patronki górników „Barbara". Zakończył życzeniem, by naszych rzek królowa pokryła się tysiącami statków i galarów, wiozących rodzimy produkt, wydobyty ręką polskiego górnika. Następnie przemawiali: Rektor Hoborski, wiceprezydent m. Rolle, delegat Ministerstwa robót publ., przedstawiciele klubu budapeszteńskiego i reprezentant krakowskiego „Sokoła", który wręczył Związkowi srebrną plakietę z emblematami miasta Krakowa i „Sokoła". Dalsze dwie łodzie, świeżo zbudowane, ochrzczono imionami „Bałtyk" i „Dudzio". Uroczystość zakończyła wycieczka statkami w górę Wisły.





„Czytelnia" dla członków w gmachu A. Z. S. **Otwarcie przystani Akademickiego Związku Sportowego**: Łódź „Barbara" ofiarowana A. Z. S. przez młodzież Ak. Górn.

Od Redakcyi.

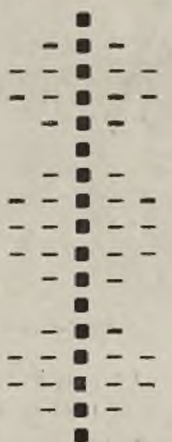
Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył M. N. Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda imię i nazwisko osobistości, która w dziejach Francyi ważną odegrała rolę



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Dopływ Wisły, 3. Roślina ogrodowa, używana jako przyprawa, 4. Miasto w Galicyi Wschodniej, 5. Rodzaj piwa, 6. Samogłoska. 7. Rzeka w Rosyi południowej, 8. Przyjemność zimowa, 9. Duchowny żydowski, 10. Dawna miara długości, 11. Dopływ Dunaju, 12 Samogłoska, 13 Rzeka na Śląsku, 14. Część budynku, 15. Rzeka w Polsce, 16. Znany Japończyk, 17. Samogłoska

Kwadrat magiczny.

Ułożyła M. Kubicówna, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a, a, a, a,
a, a, d, g,
g, g, m, o,
o, r, r, t.

Znaczenie wyrazów: 1. Strój rzymski, 2. Gatunek psa, 3. Litera grecka, 4. Miasto na Węgrzech.

Zadanie da uzupełnienia.

Ułożył Jan E.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego powieściopisarza.

— ora
— mar
— ota
— ola
— zaw
— oga
— mam
— pal
— oda
— oła
— ula
— ran

Łamigłówka.

Ułożył A. B., Kraków.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną literę i ułożyć z nich nazwę obchodu, z wiązanego z obecną porą:

Osa, kot, Abo, rów, Ito, oko, lin.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyżazych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) Poczet królów polskich (druk trójbarwny, wyd. Salonu Malarzy Polskich); 2) Kalendarz familijny na rok 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 20.

Grzebieniówka: Stanisław.

Okienko: Opole, odwar, ekran.

Bilety wizytowe: Millerand, Simons, Harding, Briand, Sforza.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Brandys Kraków, W. Teodorowicz Warszawa, J. Martynowicz Sandomierz, J. Jabłoński Lublin, J. Bielawski Rzeszów, M. Lisowski Stanisławów, K. Kozłowski Sandomierz, Z. Zawadzki Warszawa, W. Dutkiewicz Przemyśl, S. Piekarski Poznań, H. Blonder Chrzanów, E. Gugulski Jędrzejów, M. Kubicówna Kraków, J. Cześnikiewicz Kraków, Z. Stolarski Poznań, K. Zieliński Zalesie, M. Ostrowska Lwów, S. Sadowski Warszawa, S. Zajączkowski Rzeszów, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Zombek Lwów. K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, U. Kokoszyńska Przemyśl, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Komperdowa Lwów, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, H. Waligórski Tarnów, W. Rogalska Podgórze, T. Michalczyk Kielce, H. Maciejowski Lwów, H. Malczewska Warszawa.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) W. Rogalska Podgórze (Poczet królów polskich). 2) T. Michalczyk Kielce (powieść). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.